

GRUF

1984
MAJ

NR
ROK III 5



Po raz pierwszy na łamach „Gryfa”

Krzysztof Grzesiak — urodził się (1952 r.) w Kolobrzegu, kształcił w Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie, a następnie — w latach 1971—76 na Wydziale Malarstwa i Rzeźby w PWSSP w Gdańsku.

Od 1977 r. na stałe zamieszkał w Lęborku, zajmując wraz z żoną i dwojgiem dzieci małe mieszkanie.

Przez dwa lata pełnił funkcję plastyka miejskiego w Lęborku. Nie przyniosła mu ona pełnej satysfakcji ani zamierzonych rezultatów dla miasta. Do dziś także nie ma pracowni. Tworzy w warunkach nie sprzyjających ani pracy artystycznej, ani życiu rodzinnemu. No cóż, wciąż aktualna jest u nas opinia, że pracę społecznie użyteczną spełniają tylko rzemieślnicy i im przysługuje lokal na warsztat, choćby byli najgorszymi partaczami. Mimo to talent i pracowitość Grzesiaka znajduje uznanie nie tylko w naszym kraju. Artysta uczestniczył z powodzeniem w międzynarodowych konkursach w Hiszpanii i Chile. Jest laureatem głównej nagrody na plakat „Sport w sztuce” (Madryt, 1981 r.), jego wyróżnione rysunki zakupiły muzea: Sportu i sztuki w stolicy Hiszpanii oraz w Barcelonie. Na Międzynarodowe Biennale Sztuki w Valparaíso (Chile) otrzymuje zaproszenie bezpośrednio od Rady Miejskiej: „...**W nadziei, że za pośrednictwem Pana dzieł będzie reprezentowana Polska...**”

W życiu artystycznym naszego kraju także uczestniczy z powodzeniem. Bierze udział w Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa Młodych im. W. Cwenarskiego we Wrocławiu w 1980 r. (nagrodą — stypendium); udział w Ogólnopolskim Konkursie na obraz im. J. Spychalskiego w Poznaniu (1981 r. — zakup obrazu); dwukrotny udział w Festiwalu Malarstwa Współczesnego w Szczecinie (1980, 1984 — nagroda); udział w ruchu artystycznym „V Akcja Świat” — w salonie BWA w Słupsku i Galerii ART w Warszawie (1980, 1981). Ponadto organizuje 3 pokazy indywidualne: dwukrotnie poprzez słupskie BWA („Baszta Czarownic” i „Nowa Brama”) oraz w MOK w Lęborku. Prace artysty zakupiły, poza wyżej wymienionymi, muzea: Narodowe w Szczecinie, Sportu i Turystyki w Warszawie, Pomorza Środkowego w Słupsku, a także kolekcjonerzy prywatni w kraju i za granicą.

O twórczości Krzysztofa Grzesiaka szerzej piszemy na str. 12 i 13. Prezentujemy także dwie z jego prac.

GRYF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

SŁUPSK ■ MAJ ■ 1984 r.

W NUMERZE:

JÓZEF LINDMAJER PRZYPOMINA RODOWÓD ROBOTNICZEGO ŚWIĘTA • ANTONI KUSTUSZ CZEKA NA KULTURALNĄ AKTYWIZACJĘ ZAŁÓG • PAWEŁ GÓRCZYŃSKI ROZMAWIA O STOP-ie — TEATRZE DLA KAŻDEGO • MIROSLAWA MIRECKA NAKŁANIA DOROTĘ STALIŃSKĄ DO ZWIERZENIE TYLKO ZAWODOWYCH • JAN SROKA O POLSKIEJ DRODZE FILMU WOJENNEGO • JERZY FRYCKOWSKI PREZENTUJE SVOJE WIERSZE • JOLANTA NITKOWSKA PRZEDSTAWIA GOK W KOCZALE • ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH PRZEDSTAWIA PORTRET MALARZA • NASTOLATKI NARZEKAJĄ NA MIZERIĘ SŁUPSKIEJ KULTURY • KAZIMIERZ KWIECIEN WSPOMINA PIERWSZE LATA W „POMORZANCIE” • JERZY ROMANOWICZ ŻAŁUJE, ŻE TAK CICHU O KLUBIE MŁODYCH PISARZY • STANISŁAW MISAKOWSKI BRONI CZYTELNIKA • ANDRZEJ TURCZYŃSKI DOWODZI, IŻ WOLNOŚĆ ARTYSTY JEST UTOPIĄ • PONADTO: KRONIKA, REPERTUARY, INFORMACJE

TRADYCJE

RUCHU

ROBOTNICZEGO

cy i Zakon Rycerzy Przewodzenia 8-godzinne ele znaczących ośrodków ryki Północnej. W dniu ago, który 3 i 4 maja do io burzliwych akcji i de przez robotników USA agowskiego skazano na adycji międzynarodowego dzenia ważności i sym- go — II Międzynarodów- ynarodowe święto pracy.

decznych wytykamy różnice w życia, udogodnień cywilizacyj- ającego na Zachodzie i w Pol- klasa robotnicza przez pokole- ed i po chicagowskim 1 maja n odwecie władzy — uporczy- lykowała prawa socjalne i wy- awa polityczna. Walczyla, lecz a; ciężko i systematycznie, gro- tami wartości materialne jed- zyny, grupy społeczno-zawodo- u. państwa. Dodajmy do tego , konsekwencję w działaniu i . Tylko takie traktowanie is- i jej efektów daje potwierdze- wartości; tego, kim jestem, co gnąć, wykorzystując wrodzoną je i nabyte uzdolnienia. Kto nie stanowi podstawowej wy- ieł poczucia własnej wartości, siebie, dynamizmu, bardziej onych społeczeństw?

czas, by skończyć z tradycyj- ółczesnymi przejawami mega- odowej, ksenofobii wobec tych sąsiadów. Co nam daje „ek-

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofska 1, tel. 83-13, 38-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula Mączka, Andrzej Szulc, Andrzej Turczyński.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 24-56) i Elżbieta Poturaj — sekretarz i oprac. techniczne (tel. 43-81). Zdjęcia barwne na okładce — Jan Maziejuk. Korekta — Aleksander Lewon.

WARUNKI PRENUMERATY: kwartalna — 45 zł, półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 76-200 Słupsk, Al. Sienkiewicza 7. Konto — NBP 77002-794 Słupsk, nr indeksu 5966. Wpłaty od jednostek gospodarki uspołecznionej, instytucji, organizacji przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspedycje lub urzędy pocztowe w miejscowościach, w których nie ma placówek RSW. Nabywcy indywidualni opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych na podane konto i numer indeksu oraz adres.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 1000 egz. format B-5. Zam. nr 1585. Druk barwnej okładki: Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. P-8

Cena 15 zł

Ziemia planeta ojczyzn

JÓZEF LINDMAJER

W roku 1886 Amerykańska Federacja Pracy i Zakon Rycerzy Pracy podjęły wielką inicjatywę na rzecz wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy. Strajki i demonstracje objęły wiele znaczących ośrodków przemysłowych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W dniu 1 maja 1886 roku rozpoczął się strajk w Chicago, który 3 i 4 maja doprowadził do krwawego starcia z policją. Mimo burzliwych akcji i demonstracji protestacyjnych organizowanych przez robotników USA i Europy, czterech przywódców strajku chicagowskiego skazano na śmierć. Dzień 1 maja 1886 roku wszedł do tradycji międzynarodowego ruchu robotniczego, ponieważ — dla potwierdzenia ważności i symboliki wydarzeń zapoczątkowanych w Chicago — II Międzynarodówka uznała w roku 1889 dzień 1 maja za międzynarodowe święto pracy.

O bchody pierwszomajowego święta na ziemiach polskich w latach niewoli narodowej odegrały znaczącą rolę w konsolidacji młodego polskiego ruchu robotniczego. W dwudziestolecie międzywojennym dzień ten wykorzystywano dla podkreślenia żywotności procesów odnowy polityczno-społecznej pod hasłami frontu ludowego.

Dzisiaj uwypuklić należy symboliczne znaczenie tego święta. Nawiązujemy do tradycji międzynarodowego i polskiego ruchu robotniczego widząc ją również w stale aktualnym wymiarze moralno-filozoficznym. To ukłon w stronę ludzi żyjących z pracy własnych rąk czy intelektu — może nieraz biednie, lecz godnie — z pracy, która winna być ustawicznie emanacją jego wartości, siły, twórczej fachowości i zarazem wyobraźni, etyki zawodowej.

Jakże często bezkrytycznie — bo nie zadając sobie trudu obiektywnego rozumowania i poznawania, także w kontekście historycznym, mechanizmów ekono-

miczno-społecznych wytykamy różnice w poziomie życia, udogodnień cywilizacyjnych pracującego na Zachodzie i w Polsce. Tam klasa robotnicza przez pokolenia — przed i po chicagowskim 1 maja i krwawym odwiecie władzy — uporczywie rewindykowała prawa socjalne i wydzierała prawa polityczne. Walczyła, lecz i pracowała; ciężko i systematycznie, gromadząc latami wartości materialne jednostki, rodziny, grupy społeczno-zawodowej, narodu, państwa. Dodajmy do tego cierpliwość, konsekwencję w działaniu i oszczędność. Tylko takie traktowanie istoty pracy i jej efektów daje potwierdzenie własnej wartości; tego, kim jestem, co mogę osiągnąć, wykorzystując wrodzoną predestynację i nabyte uzdolnienia. Kto wie, czy to nie stanowi podstawowej wkładni źródeł poczucia własnej wartości, pewności siebie, dynamizmu, bardziej zrównoważonych społeczeństw?

Nadszedł czas, by skończyć z tradycyjnymi i współczesnymi przejawami megalomanii narodowej, ksenofobii wobec tych czy innych sąsiadów. Co nam daje „ek-

TRADYCJE

RUCHU

ROBOTNICZEGO

sport" takiego dynamizmu? Nic. Albo gorzej. Przykleja nam — chętnie drukowaną za granicą — etykietkę Polski, jako chorego człowieka Europy. Czy chcemy, by nadal — na zachód od Łaby — skrzętnie, z wymownym uśmieszkiem propagowano stary, bo bismarckowski, paradoks, że Polacy są politykami w poezji, a poetami w polityce?

Czy i poniższe słowa mają być w nieskończoność powielanym zwrotem. Przed ponad 120 laty, w jednym z artykułów „Nasze drogi polityczne” redakcja „Przeglądu Tygodniowego” zamieściła:

„Ze zdumiewającym fanatyzmem walczylismy przeciwko prawom czasu nie wiedząc, lub nie dbając, że jego potęga zmiana nas, nie zatrzymawszy się nawet w swoim pochodzie. Z tej taktyki wypłynąć mogło tylko jedno następstwo i to nas rzeczywiście nie ominęło: nauczyliśmy się wspaniale ginąć, ale nie nauczyliśmy się nigdy rozumnie żyć (...) trzeba teraz postarać się o inne cnoty, mniej poetyczne, ale korzystniejsze — o bohaterstwo umiejętności życia”.

Dla współczesności i z myślą o dniu jutrzejszym nie można żyć karmiąc się goryczą wspomnień o przegranych pokoleniach — wykrwawionych i ograbionych, upokarzanych w znojnej walce o przetrwanie na ojcowiznie, wygnanych na obczyznę, uwiecznionych bez krat na bezkresach Wschodu.

Nie ma ideału politycznej wolności. Ale najbliższy spełnienia takiego wyimaginowanego symbolu wolności będzie naród, który jest nie tylko wewnętrznie wolny, lecz również za siebie odpowiedzialny. W przeciwnym razie taki naród nie zasługuje na wolność zewnętrzną. Sprowokowali wyrok i zaprowadzili Rzeczpospolitą na szafot historii w XVIII stuleciu ci, którzy przez dziesiątki lat podważali coraz bezwzględniej autorytet, niweczyli siłę i deprecjonowali władzę zwierzchnią wobec narodu i symbolów niezawisłości państwa.

Nawiązujemy do tradycji rozsądnie pojętej i bierzmy z niej mądrość, doświadczenia, proste przestrogi i refleksje przeszłych pokoleń, przydatnych i dla narodu Rzeczypospolitej u schyłku XX wieku. „Upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny” — pisał Stanisław Staszic. Zastanówmy się także nad sensem przeświadczenia Maurycego Mochnackiego „czarnego jeźdźcy polskiej rewolucji”, który trzy pojęcia: pierwotnej wielkości, upadku i odzyskania nazwał nicią wątkową historii.

Mamy przed sobą w hierarchii celów politycznych i obywatelsko-patriotycznych obowiązki podstawowy: żeby o d z y s k a ć — należy, w pierwszej kolejności, bronić i umacniać państwo do takiego stopnia,

w którym mądrość i rozważa narodu jako całość będzie siłą i prawem rządzących.

Trudne to zabiegi, by w wykładni i praktyce porozumienia narodowego, zrozumienia narodu, zbudowania trwałych podstaw zaufania między władzą a społeczeństwem, ująć — akceptowany przez zdecydowaną większość Polaków — passus mówiący (nie, jak bywało, enigmatycznie, a nawet nieudolnie) o dominacji jednej klasy. Klasy nawet historycznie dorosłej i przygotowanej do pełnienia roli hegemonu w określonych, wciąż jeszcze niestabilnych, warunkach dorastania do Rzeczypospolitej w socjalistycznej demokracji, którą ciągle trzeba doskonalić, lecz uzasadniający przewodnictwo „strategiczne” klasy robotniczej. Ta, z kolei, winna uznać aspiracje, specyfikę dążeń i innych warstw czy grup społeczno-zawodowych, które sprawie Polski i obywateli wobec niej nadają walor najwyższy.

Dziś, jak nigdy dotąd w naszej najnowszej historii, wzrosło gwałtownie zapotrzebowanie na wdrażanie trwałych metod krystalizowania się wspólnoty narodowej. Niepotrzebne są ahistoryczne obecnie postawy bohaterstwa pokoleń doby insurekcyjno-romantycznej, kiedy upoetyczniona etyka, w zderzeniu z piękną świadomością polskiego bezpaństwowego bytowania, proklamowała prawo do pustelniczego wręcz indywidualności i spontanicznego cierpienia. Pokolenia te złożyły wielki haracz krwi i wartości materialnej i to wówczas, gdy inne narody (nawet te bez własnego państwa) budowały podwaliny wysokiej kultury materialnej. Chylac czoła przed tragicznymi romantykami bierzmy raczej przykład z cichego bohaterstwa pracy „u” lub „od” podstaw im współczesnych, chociażby z organiczności lat najdłuższej wojny nowoczesnej Europy — świadectwa zgoda innej postawy i umiejętności Polaków — godnej, mądrej, dalekowzrocznej narodowo determinacji w walce o przetrwanie, walce z potężnym aparatem obcej przemocy.

Przywiązani bardzo do atrybutów narodowej przeszłości nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że ich częścią nie tylko w postępowym, ogólnoludzkim wymiarze, lecz i w polsko-narodowym, jest także od końca XIX wieku tradycja pierwszomajowa. Nie da się jej wymazać bez deformowania logiki ciągłości naszych dziejów. Siła tej tradycji wynika z faktu, iż jest ona żywa, zmienna w formie, ponad wszystko zaś uniwersalna, nie znająca granic państwowych, politycznych, systemowych, odrębności narodowych czy światopoglądowych.

Skąd bierze się ten niezwykle uniwersalny? Jest to święto wszystkich ludzi uczynnych, wymagających od siebie i innych,

gniewnych i sprawiedliwych, święto ludzi zmęczonych. Jest to święto pracy, dzięki której i poprzez którą człowiek przeobraża Ziemię przez pokolenia, i nadal — w swej przeogromnej, przeważającej masie — to czyni, aby Ziemię przekształcić w planetę ojczyzn, strzec na niej pokój i życia.

Żeby nasze nadzieje, pragnienia narodowe i ogólnoludzkie stały się aksjomatem w dniu jutrzejszym, powinniśmy 1 maja świętować humanizm pracy, podkreślając tym godność człowieka. To dzień spotkania ludzi, którzy znają i mają prawo podkreślić wartość swojej osobowości, potwierdzonej w codziennym wypełnianiu obowiązków: od pierwszoklasisty do studenta, od stażysty do profesora, od za-

Kto chce „kupić” robotnika?

ANTONI KUSTUSZ

Z tzw. kulturą robotniczą jest gorzej niż źle. Nie znaczy to wcale, że wśród robotników brakuje zupełnie przejawów działalności kulturalnej. Czyż można jednak mówić o systemie upowszechniania kultury w środowiskach robotniczych, o ich aktywizacji kulturalnej, jeżeli brakuje środków, działań coraz mniej zakładowych placówek kultury, zaniechano przeglądów zespołów? Szumnie zapowiadające ambitny program Centrum Kultury Robotniczej także zaprzestało działalności. Czyżby więc posucha?

Przykładów typowych do analizy aktualnej sytuacji w kulturze zakładowej mogą dostarczyć przedsiębiorstwa tworzące PZPS „Alka”. Spośród ośmiu zakładów skupionych w kombinacie własne placówki kulturalne mają zaledwie dwie: Garbarnia w Kępicach i filia Zakładu Obuwia w Darłowie. Zakładowy Dom Kultury w Dębicy Kaszubskiej oraz klub „Ewelina” w Słupsku zlikwidowano ze względu na zły stan techniczny. Pozostałe zakłady korzystają od czasu do czasu

miatacza ulic do mistrza, inżyniera budującego kombajny, formującego łańcuchy okrętowe... Ci właśnie uczący się, twórcy, tworzący, dający z siebie na miarę swych uzdolnień, przygotowania i wykształcenia, pójdą 1 maja swobodnym, nierównym krokiem. Może niektórzy spośród nich dostrzegą się po raz pierwszy, zapamiętają i będą szanować... Nie statystyczna liczba „głów” i białych kołnierzyków stanowić winna kryterium oceny moralnej siły, dla jednych patriotyczno-narodowej, a dla innych społeczno-rewolucyjnej pierwszomajowego pochodu w Słupsku, w miastach i wsiach Pomorza, w całej Polsce.

„...dopłacana
kultura
nie rozbudza
własnej twórczości
robotników”

z ogólnodostępnych środków kultury. Sytuacja taka wpływa niewątpliwie na obniżenie poziomu kulturalnej aktywności robotników.

Po zamknięciu klubu „Ewelina” w Słupsku w 1974 r. rozwiązały się zespoły taneczne i muzyczne. Orkiestra dęta po wielu przygodach znalazła gościnny kąt w szkole podstawowej nr 14, zaś instrumenty i wyposażenie zdeponowano w magazynach zakładu. I leżą tam do dziś, czekając lepszych czasów. Próby prowadzenia działalności w pomieszczeniu szkoły obuwicznej i MOK nie powiodły się. Pracownicy działu socjalnego twierdzą, że załoga potrzebuje własnego kąta, aby bez skrupowania uprawiać amatorską działalność kulturalną. A o taki kąt, jak dotychczas, bardzo trudno. Jeśli już się znajdzie, piętrzą się kłopoty, jak np. w Kępicach. Zakładowy Dom Kultury poważnie obciąża fundusz socjalny zakładu, a przecież jest to właściwie placówka otwarta. Starania, aby także inne zakłady miasta i gminy obciążyć kosztami utrzy-



Pozostaje czekać na lepsze czasy, kiedy związki zawodowe dostrzegą w działalności kulturalnej szansę na zintegrowanie załóg, na ich aktywizację.

fol. Jan Maziejuk

mania nie powiodły się. Trudno więc się dziwić głosom delegatów samorządu pracowniczego, którzy proponują przekazać ZDK Urzędowi Miasta i Gminy — pozbędą się kłopotu, a pieniądze zostaną w zakładzie. Trudno się dziwić, ale czy jest to dobre wyjście z sytuacji? Nie sądzę. Jak trudno tworzyć zakładową kulturę przekonali się słupscy obuwnicy i dębniccy garbarze.

Jedną z przyczyn osłabienia działal-

ności kulturalnej w zakładach pracy była niewątpliwie skomplikowana sytuacja w ruchu związkowym. Konkurujące ze sobą związki prześcigały się w organizowaniu imprez zleconych, zaniedbując prawie zupełnie inne potrzeby kulturalne załóg. Zlikwidowano wiele zakładowych bibliotek, zmniejszono fundusze na zakupy książek. Nikt nie myślał o własnych zespołach artystycznych. Związki licytowały się ilością wydatkowanych na im-

prezy środków, a tymczasem brakowało pieniędzy na etaty dla instruktorów i animatorów kultury.

Obecnie sytuacja powoli wraca do normy, ale tradycje trzeba odbudowywać właściwie od podstaw. I jeżeli dzieje się to w takim zakładzie jak „Alka”, gdzie nie zadbano o zaplecze socjalne — proces ten trwać będzie długo.

Drugiej przyczyny należy doszukiwać się, moim, i nie tylko moim zdaniem, w skąpieniu przez samorządy pracownicze odpowiednich środków na kulturę. W Zakładzie Obuwia przeznaczono na ten cel 438 tys. zł. To bardzo mało. Pieniądże te przeznacza się głównie na dopłaty do biletów na ogólnodostępne imprezy. Korzysta z nich, jak obliczono w dziale socjalnym około 80 proc. załogi. Są to z reguły atrakcyjne filmy (np. w br. „W poszukiwaniu zaginionej arki” czy „Akademia Pana Kleksa”) lub koncerty rozrywkowe, np. Rosiewicz, zespołu „Perfect”, „Wanda i Banda”. Z biletów korzysta około 300 — 500 osób. Z rodzaju repertuaru można wysnuć wniosek, że na imprezy te chodzą raczej dzieci pracowników, a nie oni sami. Placówki kultury wtedy zazwyczaj zwracają się do zakładów pracy, kiedy obawiają się o frekwencję. Kiedy zaś mają pewność, że sprzedadzą wszystkie bilety, w zakładach imprez takich w ogóle się nie reklamuje. W takich sytuacjach pracownicy socjalni zakładu zabiegają, sobie tylko znanymi sposobami, by zdobyć bilety dla tych, którzy rozsmakowali się w wartościowej kulturze. Ale to właściwie wszystko: i dużo i mało zarazem.

Oczywiście taka „dopłacana kultura” nie rozbudza własnej twórczości robotników, a ponadto umacnia owe tendencje konsumpcyjne, które następnie rzutują na decyzje samorządów. Reprezentują przeciwieństwo opinii załogi, która, wychowywana od lat bez odpowiedniej pracy kulturalnej, woli pieniądze przeznaczyć na osobowy fundusz socjalny niż na mgliście pojowaną kulturę. — Pieniądże przesłaniają teraz wszelką pracę społeczną — mówi z goryczą Alicja Sych, w dziale socjalnym „Alki” odpowiedzialna za sprawy kultury. — A przecież są wśród nas ludzie,

którzy chcieliby tworzyć w zespołach amatorskich — dodaje. — Samych zespołów muzycznych, składających się z naszych pracowników, które grają na weselach i innych imprezach jest około dziesięciu. Grają oczywiście na własnych instrumentach, bo nasze zakładowe zdeponowano.

Zakładowe służby socjalne starają się także zapewnić załozdę inne formy kontaktu z kulturą. Co jakiś czas, dzięki pomocy BWA organizuje się w stołówce wystawy grafiki i malarstwa. Aktualnie prezentuje tam swoje grafiki Witold Lubiniecki ze Słupska. Ściany korytarzy i niektóre gabinety ozdobiły także prace uczestników dębnickiego pleneru „Zapis graficzny w skórze”. Efektowne obrazy wiszą więc na ścianach, ale niewiele wnoszą do ogólnej kultury załogi. Są tylko ozdobnikami szarej zakładowej codzienności. Tymczasem powołana dwa lata temu komisja ds. estetyki miejsca pracy właściwie nie rozpoczęła działalności. Do dziś trwa batalia o zakup odpowiedniej, ze względu na szkodliwy mikroklimat, ilości kwiatów doniczkowych. Brak tradycji mści się także w tej dziedzinie.

Cóż więc pozostaje? Wiele satysfakcji z minionych lat, kiedy jeszcze funkcjonowała „Ewelina” i tu właśnie działały zespoły „Remont-1”, „Remont-2”, uczył się grać Maciej Dzierżawski. Pozostały dyplomy z przeglądów zespołów artystycznych kombinatu. Dziś brak warunków, brak ludzi, brak środków.

Pozostaje także czekać na lepsze czasy, kiedy zmieni się stosunek do zakładowych funduszy socjalnych i kiedy związki zawodowe dostrzegą w działalności kulturalnej szansę na zintegrowanie załóg, na ich aktywizację.

Potrzebna jest także konkretna troska władz wojewódzkich. Programy, choćby najbardziej kompleksowe, nie mają szans realizacji, jeżeli nie będą oparte o zakładowe realia. Dlatego zdobyłem się na może nieco przeczerzoną relację o sytuacji robotniczej kultury w „Alce”. Zaś pytanie, które zadałem w tytule nadal pozostaje bez odpowiedzi.

O kulturze słupskiej pisali...

Otwarto filie bibliotek: w Sławnie i w Krępie (gm. Nowa Wieś Lęborska). Do nowych lokali przeniesiono biblioteki w Postominie i Lipnicy. To w gruncie rzeczy wszystko, co udało się doprowadzić do końca. Reszta to starania, których nie można sfinalizować. W samym Słupsku potrzeby są olbrzymie w tym zakresie.

ANNA ROMANOWSKA
(„GŁOS POMORZA” nr 77 z 30 III br.)

Teatr

nie tylko studentów

PAWEŁ GÓRCZYŃSKI

Na spotkanie umówiłem się z jednym — przyszli we trzech. Dopiero potem dowiedziałem się, że stanowią ścisłe kierownictwo grupy. Wyrażenie to może być jednak mało precyzyjne, jako że — jak sami mówią — ich siła tkwi w koleżalności i partnerstwie. Ta trójka nadaje jednemu ton, przejął na siebie obowiązki organizacyjne.

Nie sposób mówić o STOP-ie, czyli Studenckim Teatrze Okolicznościowej Potrzeby, nie tylko w środowisku studenckim, jeśli nie sięgnie się do historii zespołu. Mirosław Gliniecki opowiada o niej bardzo chętnie. Jest założycielem grupy, ma zatem najwięcej do powiedzenia.

— W roku 1979 — słucham opowieści Mirka Glinieckiego — wspólnie z Jackiem Kupisem, pomysłodawcą całego przedsięwzięcia, który jednak po kilku miesiącach przeniósł się do innej uczelni, postanowiliśmy zorganizować amatorski teatr studencki. Nie mieliśmy wówczas jasnej koncepcji. Teatr i sztuka była naszą fascynacją, ale i... zabawą. Dziś wiem, że wynikało to z braku wiedzy i kiedy wspomnę te czasy, chce mi się zwyczajnie śmiać. Jak mało wiedzieliśmy wtedy o warsztacie, kłopotach organizacyjnych i ogromie pracy, którą trzeba włożyć w każde przedstawienie, jeśli ma ono przynieść satysfakcję nam i widzom.

„Legenda o Pąsku Walecznym” — pierwsza półkabaretowa forma spektaklu, w której STOP specjalizował się przez dłuż-



fot. Jan Maziejuk

szy okres, przyjęta była na WSP życzliwość. Nikt jednak wówczas nie przypuszczał, by teatr mógł stać się trwałym elementem pejzażu uczelni. „Pąska” oglądali Włosi, Węgrzy, młodzież z Instytutu Pedagogicznego w Poławie. Prosta symbolika, dopracowany ruch sceniczny pokonały bariery językowe. Obcokrajowcy wychodzili z tego przedstawienia zadowoleni i ubawieni. Podobnie było z „Legendą o Dziekanusie”.

— Nie błędzi, kto nie robi nic — mówi Mirosław Gliniecki, jakby chciał usprawiedliwić kilka poważnych „wpadek”. — Surową lekcją był dla nas X Festiwal Teatrów Debiutujących, gdzie wystawiliśmy „Próbę” w oparciu o teksty Różewicza. Nam się wydawało po występie, że mamy powody do dumy. Niestety, rzeczywistość była jednak inna. Niewypałem okazała się również „Zmija” oparta na tekstach Szekspira, Różewicza, Nerudy, Lipskiej. „Zmiję” reklamowano jako spektakl niedopowiedziany. W półsłówkach, w zawilościach myśli pogubił się sam — przyznają członkowie zespołu. — Ale nie błędzi ten...

Owe premiery to z jednej strony poszukiwanie formuły teatru, z drugiej walka z przeciwnościami. Było i jest ich do dziś sporo. Nie wiadomo jak potoczyłyby się losy teatru, gdyby nie rok 1983.

Na kanwie autentycznych wydarzeń, sto lat temu, Hieronim Derdowski napisał krótki poemat historyczny „Kasze-

be pod Widnem”. W 50 lat później Jan Karnowski na motywach tej pracy oparł swój utwór sceniczny, któremu nadał folklorystyczną oprawę. Następnie utwór ten posłużył do opracowania scenariusza wielkiego widowiska plenerowego. Oglądało go... kilka tysięcy osób.

— To wtedy — mówi Mirosław Gliniecki — teatr stracił stricte studencki charakter.

Przygotowujący się do obchodów kolejnej rocznicy wiktorii wiedeńskiej Chojnicki Dom Kultury zwrócił się do STOP-u z propozycją organizacji widowiska. Scenariusz opracował Mirosław Gliniecki, scenografię — według „własnej wizji” — skonstruował Marian Thiede, dźwięk i światło — Jarosław Kowalski, Piotr Samulak i Piotr Eichler. Całość reżyserował Stanisław Miedziewski, pracownik Wojewódzkiego Domu Kultury, który trwale związał się z teatrem.

Zaczęło się od zupełnej ciemności. Smuga światła wyłoniła z czarnej otchłani tańczącą dziewczynę — to Rzeczpospolita. Potem sabat czarownic i zstępujący ze wzgórz zastęp aniołów. Symboliczna scena koronacji króla Jana Sobieskiego, widok spokojnie pracujących wiościan i groźnych Turków aż wreszcie starcie staje się nieuniknione. Leżą na poboju polscy janczary i polscy rycerze, kładą się tureckie sztandary, a w górze pozostają proporce z orłem i gryfem. Mozaika obrazów, gra światła i muzyka robią wrażenie. W kilkutygodniowej rzeszy widzów są oczywiście i tacy, którzy miejsce to opuszczają z niedosytem scen batalistycznych.

Tak rozpoczął się nowy rozdział w dziejach zespołu. Rozdział, w którym Stanisław Miedziewski proponuje formułę teatru ludowego, także pełnego symboliki, ale zrozumiałej, nieprzeintelektualizowanej, wciągającego widza w grę. Słowem, bawiącego i uczącego zarazem, teatru żywego.

— Każde z naszych przedstawień — mówi Stanisław Miedziewski — to konglomerat koncepcji rodzących się w wyobraźni członków zespołu. Nie ma podziału na personel techniczny i aktorów. Jest wizja przedstawienia nad którą dyskutujemy.

„Dialogus Pastoralis, czyli rzecz o narodzeniu pańskim” nie była reklamowana szeroko. Na premierę do sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury przybyło blisko trzysta osób. Na przedstawienie

popremierowe ponad dwieście. Przedstawienie oparte jest na tekstach teatru staropolskiego. Bogate kostiumy, wykonane w większości rękami aktorów, własna scenografia, ruch sceniczny i niezły poziom musiały pozostawić dobre wrażenie.

STOP nie jest objawieniem i z tego zdają sobie sprawę członkowie zespołu — Mirosław Gliniecki, Stanisław Miedziewski, Piotr Samulak, Wojciech Szroeder, Bogusław Pobiedzinski, Aleksander Dąbrowski, Maciej Ronazio, Dorota Kodz, Alina Zapart, Marzena Moździerz, Jacek Dżembaj, Bondan Statkiewicz, Hubert Bilewicz, Rudolf Teschner, Małgorzata Nieścior, Rafał Makarewicz, Mieczysław Giedroń — studenci, uczniowie i pracownicy... Uważają, że nauczyli się przez ten okres dużo, nie tyle jednak, by spocząć na laurach. Na próbach — po pracy, zajęciach, lekcjach — spotykają się niemal codziennie. W sali MOK, który jest jednym z trzech mecenasów już tylko z nazwy studenckiego teatru, powstaje nowa sztuka „Brecht — człowiek jak człowiek”.

— Będzie to wybór, czy — jak ktoś woli — składanka jego tekstów — wyjaśnia Stanisław Miedziewski. — Jesteśmy zafascynowani jego aktualnością polityczną, marzy nam się spojrzenie na rzeczywistość przez pryzmat twórczości Brechta. Wiemy, że czeka nas długa praca. Wiemy też, że w całym przedstawieniu, o postaci, jej widzeniu świata i dnia dzisiejszego, będzie decydować warsztat i ruch sceniczny. W przygotowaniu przedstawienia pomagają nam członkowie zespołu „Blik” z Koszalina Mieczysław Giedroń. Daty premiery nie możemy jeszcze określić.

Póki co — STOP postanowił grać nie tylko w Słupsku. Ofert nie brakuje. Zespół, któremu patronują: RU ZSP, WDK i MOK wyjeżdża w maju na przegląd ośrodków teatralnych, potem „Dialogus Pastoralis” obejrzą będą mogli mieszkańcy Koszalina, Kołobrzegu, Łęborka, Konarzyn, Czarnej Dąbrowki. W czerwcu zaś zaprezentują się na festiwalu „Bursztynowej maski”.

Plany są śmiałe i dalekie, jednak o szczegółach nikt nie chce na razie mówić. STOP oparł się kilku burzom i niebezpieczeństwom. Ale któż przewidzi, co stać się może za rok, za dwa...

Inteligentna, pomysłowa, ruchliwa. Szybko myśli i podejmuje optymalne decyzje. Odznacza się krasomówstwem. Wciąż poszukuje nowych rozwiązań. Lubi zmiany i podróże. Ma wiele osobistego czaru. Powinna żyć długie lata. Szczęśliwy kolor: czerwień, kwiat: tulipan, kamień: beryl, dni tygodnia: środa i piątek.

Dorota

Próbuje, to co o zodiakalnych Bliźniętach mówią gwiazdy. Dopasować do Doroty Stalińskiej — supergwiazdy polskiego filmu. Urodzona w Dniu Dziecka stała się dzieckiem szczęścia. Żyje, jak sobie wymarzyła, prawie jak wymarzyła. Wykonuje zawód, który kocha i odnosi w nim sukcesy. Ale przepada też za szybką jazdą, a stać ją tylko na ładę 1300. Są przecież lepsze samochody. „Oskar” również jest niespełnionym marzeniem. To jednak wciąż przed nią. Ma 31 lat. Nie potrafi ocenić czy dużo to, czy mało w jej sytuacji, w życiu gwiazdy polskiego kina. Jej ośmioletnia praca aktorki obfituje w role, które nie przeszły bez echa, choć — kiedy głos odbił się na polskiej granicy. Zaden z filmów z jej udziałem nie trafił na znaczący festiwal zagraniczny.

Wie, że uwielbia ją publiczność. Potwierdzeniem popularności tegoroczna „Złota Kaczka” — nagroda czytelników „Filmu”. Laureatka ceni ją sobie wysoko, ale i nie wyraża wątpliwości czy aby na nią zasłużyła. Jest szczerą, bez fałszywej skromności. Nie zarozumiała, lecz pewna swego.

— Nie, absolutnie żadnego wywiadu. Niczego nowego nie powiem. Można przecież napisać o człowieku nie rozmawiając z nim.

Można, owszem, jednak nie wszystko. Jakkolwiek nigdy nie da się powiedzieć całej prawdy o kimś, bezpośredni kontakt, sylwetka wzbogacona o własną podmiotowość ocenę siebie dopełnia obserwacji z zewnątrz. W przypadku Doroty Stalińskiej — w dużym stopniu zmienia o niej wyobrażenie. Ukazuje się nam na ekranie inna, niż widzę ją prywatnie.

Nie zgadza się ze zdaniem, że tworzy postaci różne od jej, Doroty Stalińskiej, natury. W fotelu i w czerni wydaje się

filigranowa. Niczego ostrego w ubiorze, ni w wyglądzie. Wyraziste są jedynie oczy i pszeniczne włosy. Subtelna, kobieca, wyszczególniony głos. Musi go oszczędzać, to przecież narzędzie pracy, instrument. Narazę go na szwank podczas gry, gdy idzie na całość, lecz jeszcze bardziej przez to, że wiele podróżuje. Jeździ w różne pogody, nocuje w różnych hotelach. Co najbardziej lubi? Zajmować się domem — gotować, szyc. Nie ustaliłam czy kreacja, w której wystąpiła na festiwalu w San Sebastian — wspaniała długa sukienka ozdobiona futrem — jak wszystko inne, co nosi, także jest jej dziełem.

Pytam natomiast czy godzi się na przypisywane jej cechy — kobiety silnej, zdecydowanej, niezależnej, przebojowej, bezwzględnej, prawie męskiego typu? Prawda okazuje się wypadkową dwóch wizerunków Doroty Stalińskiej, pijącej kawę przy prywatnym stoliku i przedstawiającej się pod postaciami Marianny w „Krzyku”, fotoreporterki w filmie „Bez miłości” kabaretowej gwiazdy piosenki w „Miłość ci wszystko wybaczy”. Prawda o niej, jej prawda — to człowiek żywy i skomplikowany, nie wolny od małości, słabości i zdolny do wspaniałych czynów, jednocześnie wrażliwy, ciepły, w innych sytuacjach brutalny i podły. Wypełnia swoimi postaciami Stalińska cały ekran. Są namacalnie ludzkie, rysowane wyraziście, na granicy ryzyka. Taki styl gry ma swój rodowód w kinie amerykańskim. U nas — niezwykle, drażniący nawet, bulwersujący. Jednak prowokacja opłaca się — w konsekwencji stajemy po stronie kreowanych przez Stalińską bohaterów.

Jest piątek. Dzień przeznaczony dla Bliźniąt szczęściem. Dorota nie ucieka od losu. Obdarzył ją talentem plastycznym, dał urodę, zesłał pomysł wyboru wspaniałego zawodu, który stał się jej żywiołem. Działające spektakle przebiegają jak trzeba. Dwuosobowa salka lalkowego teatru

„Tęcza” wypełniona po krawiec. Scisk nie pozwala na skupienie widowni. Gaśnie światło i nagle — paraliżujący dreszcz. Inna rzeczywistość, choć znana. Dorota Stalińska w swoim własnym teatrze jednego aktora, gra po raz tysięczny może „Zmiję”, spektakl oparty na opowiadaniu Aleksandra Tołstoja, pokazywany w Słupsku przed pięcioma laty na tej samej scenie. A jednak — oczekiwanie. Bo nie ma tak w prawdziwym aktorstwie, gdy ma się do czynienia z, artystą, żeby było tak samo. „Zmij” przysłużył się też czas, w którym młoda aktorka — kierująca się kiedyś intuicją — zdążyła opłacać umiejętność świadomego operowania głosem, gestem, ruchem i władania nad publicznością.

— Tutaj, w monodramie, jest moje miejsce. Wyrosłam z małego teatru. Przygotowuje je całkowicie sama — począwszy od adaptacji tekstu, poprzez reżyserię, scenografię, stroje, muzykę. Wszystko. Jest przez to niezależna, ale i bez oparcia: Ryzykownie samodzielna, tylko że nie sama — z widownią. Bogata w jej wzruszenia, zachłannie, egocentrycznie absorbująca sobą myśli ludzkie i uwagi.

Przed następnym występem ma ochotę na spacer. Na dworze wiosna i obojętni przechodnie. Jeśli rozpoznają w niej gwiazdę — nie szkodzi. Prezentuje się salonowo, nie zawiedzie wyobrażeń, w których ekranowe gwiazdy nie powinny schodzić z piedestału w szarą codzienność — do koleisek sklepowych, zatłoczonych tramwajów i nie różnić się wyglądem od zwykłych śmiertelników. Siatka wypełniona zakupami i niestaranny makijaż ujmuje blasku. Ludzie uwielbiają niezwykłości. Dlaczego pozbawiać ich złudzeń?

Chce być doskonała. Uważa, że dopóki ambicja nie jest chorobliwa, dopóty od-

działa twórczo i mobilizuje. Robi wyjątkowo smaczny tort ananasowy i stara się budować jak najlepsze role. Sześć lat pracowała w Teatrze na Woli, pod kierownictwem Tadeusza Łomnickiego. Liczył się z ambicjami Doroty, angażował tylko do dużych ról, żeby miała czas na realizację własnych planów. Wybrała samodzielność, całkowitą swobodę decydowania o sobie i swoim artystycznym życiu. Pracuje na własne konto i przez to bardzo dużo. Musi być sprawna, dni słabości fizycznej czy psychicznej nie procentują. Za gotowość do zdjąć płaci się tylko zatrudnionym na etatach.

Dzień rozpoczyna od ćwiczeń. Wiele w nich elementów wziętych ze staroindyjskiej jogi. Filozoficzny system Dalekiego Wschodu pomaga jej widzieć świat lepszym, prowokować — na tak: Znosić przeciwności jak dopust, nie celebrować smutków.

Ostatnio zagrała epizodyczną rolę w „Seksmissji”. Filmy Janusza Machulskiego są warte nazwisk. Co dalej? Nie wiadomo, przynajmniej na publiczny użytek nie pada żaden konkretny. O tym, że wcieliłaby się w muszkietiera d'Artagnana już powiedział w wywiadzie dla „Filmu”. I że myśli o powrocie do teatru na zasadach gościnnych występów — również. Tymczasem jeszcze dwa dni pozostanie w Słupsku. Jutro cztery spektakle według opowiadania Heinricha Bölla „Utracona część Katarzyny Blum”. Czy wytrzyma? Musi. Czeka ją widownia Tygodnia Teatralnego i studenci. Jej główna wygrana — publiczność!

Wchodzi na scenę. Cisza. Ochryplym głosem obnaża, objaśnia, broni jakiegos człowieka...

MIROSLAWA MIRECKA

O kulturze słupskiej pisali...

Tego jeszcze w słupskim teatrze nie było! Pamiętają mury przy Wałowej nadkomplety słuchaczy podczas niektórych koncertów festiwalowych, ale żeby dzień po dniu, przez tydzień, widownia pękała w szwach i brakowało nawet miejsc stojących — to zdarzyło się po raz pierwszy. Więcej, rezonans Słupskiego Tygodnia Teatralnego przekroczył progi sal scenicznych. Głośno o nim było w całym mieście, także w kręgach żyjących poza wydarzeniami artystycznymi.

(GŁOS POMORZA nr 89 z 13 IV br.)
MIROSLAWA MIRECKA

Temat wojenny

JAN SROKA

ROZWAŻANIA O FILMIE

Temat wojenny ma w sztuce długą tradycję. Odnajdujemy go u ludów starożytnych, poprzez wieki towarzyszy nam po dzień dzisiejszy, podobnie jak dziejom ludzkości towarzyszy wojna. Po malarstwie, rzeźbie, literaturze podjął go film. W okresie formowania się X Muzy wybuchła I wojna światowa i kino podjęło ten temat natychmiast, ukazując go w różnych konwencjach — od dramatów po filmy awanturnicze i komedie. II wojna światowa była jeszcze okrutniejsza, dokonała ogromnych spustoszeń moralnych i materialnych, zwłaszcza w naszym kraju. Stąd w latach powojennych był to temat podstawowy w naszym kinie, zresztą w okresie całego 40-lecia należał do najważniejszych. Pod tym względem bliscy jesteśmy Jugosłowianom, z podobną konsekwencją kontynuujemy ten nurt. Tematykę wojenną rozumiemy jednak szerzej. Wojna w polskim filmie to sprawy frontu, to tematyka partyzancka i okupacyjna, obozowa, sprawa kompleksów i tragicznego spadku wojny.

Filmy wojenne z lat czterdziestych były przede wszystkim wstrząsającymi oskarżeniami — powstały jako wyraz własnych obserwacji twórców. Kinematografia nie była jeszcze wtedy w stanie włączyć się do ambitniejszych rozrachunków z wojną w sposób, jaki uczyniła to literatura, która potrafiła dać własne propozycje historyzoficzne, ukazać kryzys wartości totalnie zagrożonych.

Z tego czasu na uwagę zasługują dwa filmy, które są żywe do dziś: „Zakazane piosenki” i „Ostatni etap”. W „Zakazanych piosenkach” udało się Leonardowi Buczkowskiemu uchwycić styl i atmosferę folkloru okupowanej Warszawy. Film bliski jest balladzie. Tematem utworu była historia okupacyjnych piosenek. Ułożone chronologicznie dają historię okupowanej Stolicy.

Odmienny jest „Ostatni etap” jeden z najbardziej wstrząsających obrazów II

wojny światowej. Świeżą pamięć o hitlerowskich zbrodniach podsyłała autorce formułę filmową. Z fabularnością rodzajową związana była jego dokumentalna celowość. Walorem filmu były zdjęcia Borysa Monastyrskiego, które znakomicie ukazywały krajobraz nieprzyjazny człowiekowi. Bardzo bliski jest ten film surowego piękna „Rzymu miasta otwartego” R. Rosseliniego. W kilka lat później jeszcze raz podejmie W. Jakubowska ten temat przenosząc na ekran powieść T. Hołuj „Koniec naszego świata”, ale filmowi zabraknie autentyzmu „Ostatniego etapu”.

Inne spojrzenie na wojnę przyniesie „szkoła polska”. Jest to czas moralnych rozrachunków i dyskusji narodowych, stawiania pytań o sens naszej historii narodowej. Twórcy tej formacji artystycznej dostrzegli cierpienie i tragizm, ale pojawiła się także drwina i chęć odmitologizowania rzeczywistości, jak chociażby w „Eroice” i „Zezowatym szczęściu” Andrzeja Munka. Powstają wtedy wielkie filmy Andrzeja Wajdy. „Kanał” będący obrazem dramatu ludzkiej egzystencji. „Kanały to dno, finał, upadek powstania i marzeń” — notował na marginesie filmu jego twórca. Powstaje „Popiół i diament” oraz „Lotna” — jeden z najbardziej kontrowersyjnych filmów, zarazem pierwszy polski film podejmujący temat września 1939 roku, próba zobrazowania mitu heroicznego.

Filmy „szkoły polskiej” dotyczące lat 1939—45 były często prowokacyjne, ujawniały ukryte kompleksy i zadrażnienia, ale też spotykały się z szeroką recepcją społeczną, obchodzili wszystkich, gdyż dotyczyły spraw, do których każdy miał stosunek osobisty.

W wielu kinematografiach popularnym gatunkiem jest komedia wojenna. Chaplin realizuje komedie dotyczące się na froncie w okresie trwania I wojny światowej. Tragizm polskiej wojny i okupacji sprowadzał, iż dopiero w kilkanaście lat po wojnie zrealizowano film w tej konwencji.

Nurt ten nie jest w naszym kinie popularny. Najciekawsze realizacje to „Gdzie jest generał” i „Jak rozpetaliśmy II wojnę światową” Tadeusza Chmielewskiego, „Giuseppe w Warszawie” Stanisława Lenartowicza.

Kino lat 60-tych podejmuje próby konfrontacji czasu wojny z dniem dzisiejszym lub próby spojrzenia na czas wojny z perspektywy dnia dzisiejszego. Wojciech Has w „Szyfrach” odkrywa brak porozumienia pomiędzy ludźmi, którzy przeżyli wojnę poza granicami kraju, a tymi, którzy byli wtedy w Polsce. „W Jak być kochaną” ukazuje dramat kobiety, która dokonuje bolesnego rozrachunku z wojenną przeszłością widzianą z perspektywy lat 60-tych.

Pojawiają się również próby ujęcia tematu wojennego w perspektywie epickiej. „Barwy walki” to jeden z nielicznych filmów wojennych, gdzie partyzanci to ludzie działający sprawnie, odnoszący zwycięstwa. Prosta akcja, epicki rozmach, ludowy bohater — to główne walory innych filmów Jerzego Passendorfera „Kierunek Berlin” i „Ostatnie dni”. Znika w tych filmach ton rozdarcia, tragizmu, rozterek moralnych. Akcentują one wspólnotę narodową w walce z okupantem, są afirmacją polskiego czynu zbrojnego. Ten nurt kontynuuje „Jazgębina czerwona” Ewy i Czesława Petelskich. Sceny batalistyczne obrazujące trud żołnierza w walce o Ko-

łobrzeg należą do najlepszych w filmie polskim.

Każde pokolenie filmowców polskich obraz wojny i okupacji podejmuje na nowo. Tak działo się i w ostatnim dziesięcioleciu. Młodzi twórcy ujawnili odrębne widzenie świata, inną stylistykę. Bohaterem filmu Andrzeja Żuławskiego „Trzecia część nocy” jest młody człowiek, który w sytuacji totalnego zagrożenia stara się zrozumieć świat, odpowiedzieć na pytania o sens i cenę życia. Film ma luźną budowę, splecione są ze sobą różne płaszczyzny czasowe i znaczeniowe. Brutalny realizm epizodów w połączeniu z wyszukaną formą budził opory znacznej części widzów. Odrębnym zjawiskiem jest „Szpital przemienienia” Edwarda Żebrowskiego. Poprzez obraz szpitala psychiatrycznego w pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej w Polsce Żebrowski mówi o ogólnych problemach etyki lekarskiej i moralności ludzkiej, a także zderza ze sobą różne postawy charakterystyczne dla konfliktów ideowych i politycznych tamtych lat. Będąc portretem starć ideowych tamtej epoki jest „Szpital przemienienia” zarazem filmem o aktualnej wymowie.

Temat filmowy daje twórcom różne możliwości ujęcia. Napisałem tylko o niektórych, najbardziej znaczących w naszym kinie. W miarę upływu lat nurt ten będzie ewoluował ukazując wojnę z innej perspektywy i w innych stylistykach.

O kulturze słupskiej pisali...

Słowa uznania należą się świetnej i konsekwentnie realizowanej w „Zbliżeniach” inicjatywie prezentowania zdjęć z powojennych losów ziemi słupskiej w rubryce „Ze starych kronik”. „Jak chleb powszedni” to tytuł i tekst oddający atmosferę w kulturze w pierwszych powojennych tygodniach. Na fotografii z 1946 roku zespół teatralny Państwowego Gimnazjum i Liceum Pedagogicznego w „Słubach panińskich”.

Niemal w pierwszych tygodniach po wojnie ruszył w Słupsku półzawodowy teatr, który skupił wokół siebie dużą liczbę współpracowników oraz jeszcze większą sympatyków. (...) Jeden radioodbiornik przypadał na kilkadziesiąt rodzin, telewizji nie było, a przecież piękne polskie słowo, arcydzieła polskiej literatury i dramatu — powszechne były jak codzienny chleb. (...) Dlaczego tak mało ocaliliśmy z tamtego ducha i tamtego stosunku do kultury ojczystej?

Dlaczego? Kto dziś odpowie na to pytanie?

(„ZBLIŻENIA” nr 13 z 29 III br.)

Dramat istnienia

„Sztuka to nie jest kontemplacja piękna, lecz przeżywanie ludzkich spraw”.

Tadeusz Brzozowski

Zacytowane zdanie wybitnego polskiego artysty może być kluczem do percepcji sztuki całej generacji współczesnych twórców. Ułatwia także kontakt z twórczością Krzysztofa Grzesiaka.

Z obowiązku kronikarskiego, ale także z osobistego wyboru pragnę zwrócić uwagę na utalentowanego absolwenta gdańskiej uczelni artystycznej.

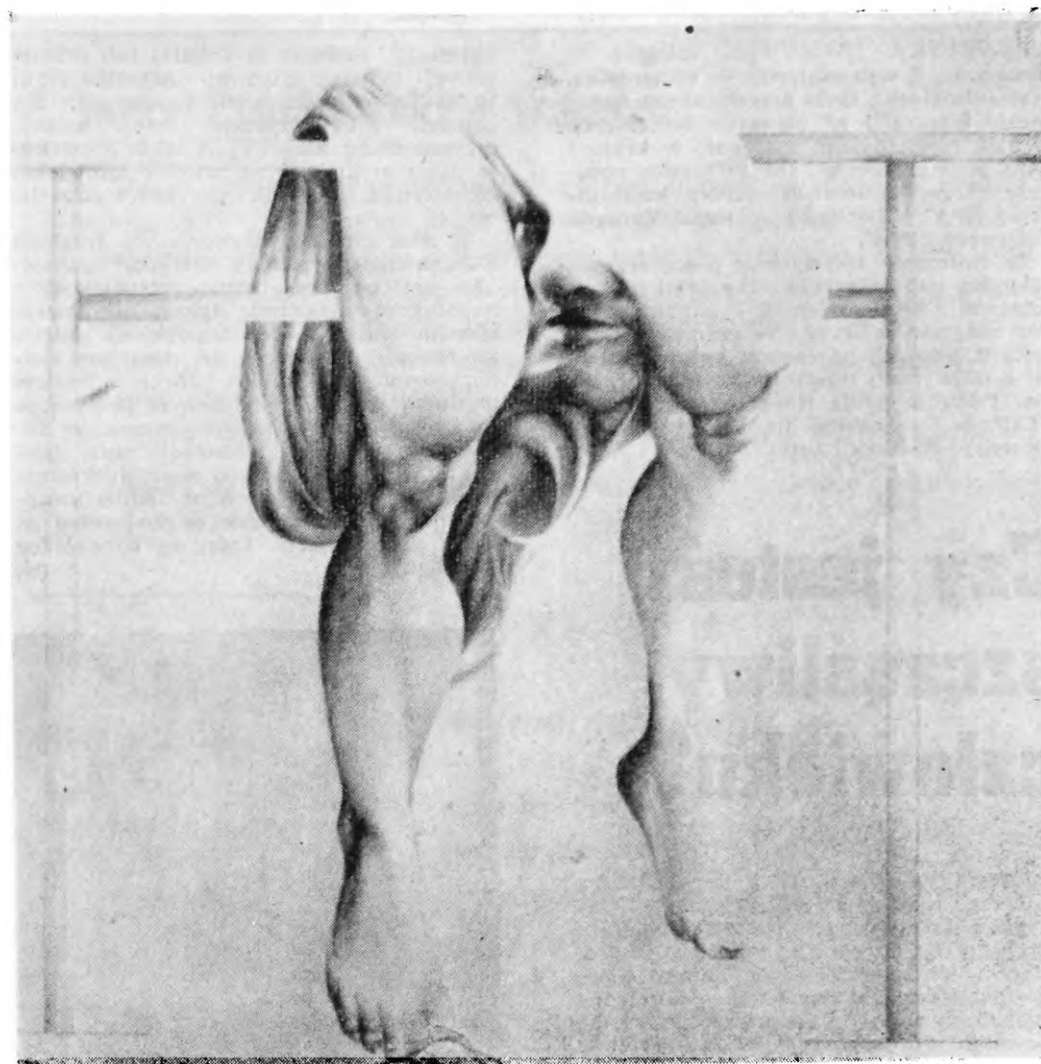
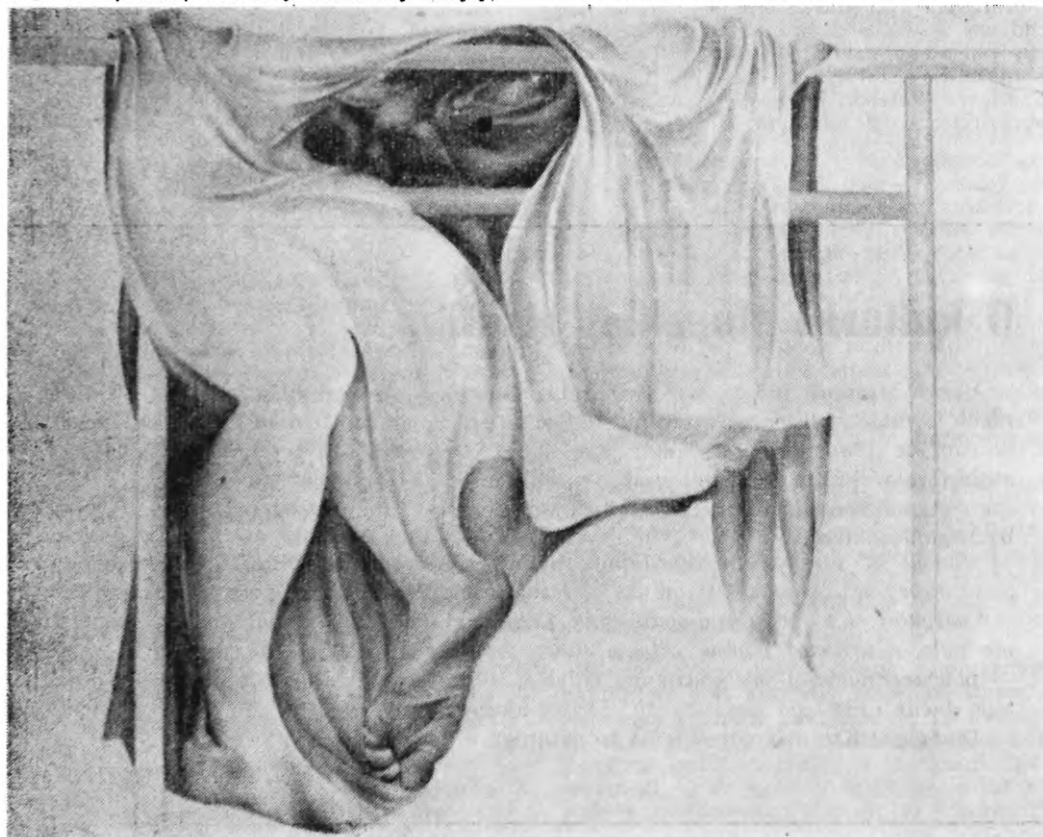
Dorobek Grzesiaka, do którego miałam dostęp, stanowi kilkanaście obrazów na płótnie, kilkadziesiąt rysunków (tworzących cykle tematyczne) i kilka rzeźb (ceramika, papieroplastyka) oraz plakaty. Nieważna jest zresztą liczba dzieł. Ten niespokojny artysta, szukający własnej drogi do wyrażenia prawdy o otaczającym go świecie, zbliża się do sukcesu wielkimi krokami.

Prace Grzesiaka co prawda nie są afirmacją piękna, ale są bardzo interesujące. Zamierzony efekt plastyczny i fabularny uzyskuje za pomocą znacznej destrukcji bryły,

którą w tym przypadku jest postać ludzka. Warsztatowo nieskazitelne. Obrazy maluje cienką warstwą białego akrylu na niezagruntowanym, szarym płótnie. Daje to efekt metalicznych „blików”; artysta zagęszcza lub przeciera biel, modelując bryłę dla uzyskania rezultatów zbliżonych do rzeźby.

W serii obrazów zgłoszonych na Festiwal Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, poszerzył gamę kolorystyczną o zieleń, fiolet, błękit, czerwień i czerń. Posługując się po mistrzowsku subtelnym światłem uzyskuje efekty kryształowego chłodu. Oceniając te zabiegi w kategoriach estetyki, osiąga — moim zdaniem — nieprzeciętne wartości.

Solidność warsztatowa i powaga, z jaką Grzesiak traktuje swoją twórczość ma źródło w niebanalnej treści obrazów i rysunków. Poślanie moralne tego młodego



artysty jest oczywiste: nie wolno poniżać i lekceważyć człowieka! W swojej twórczości Grzesiak jest więc zaangażowany społecznie, a nawet politycznie. W jego pracach powraca dręczące wielu, nie tylko artystów, pytanie: czy człowiek to najwyższa wartość, co ludzie — ludziom są w stanie zgotować? Jeżeli nawet pytania te Grzesiak zadaje najdobitniej po 1980 r. i odnoszą się one przede wszystkim do naszej sytuacji ostatnich lat, mają także wymiar ogólnoludzki.

U Grzesiaka postać ludzka, silnie umięśniona, przestaje być istotą tylko fizyczną. Jest raczej pretekstem do wyrażenia dramatu istnienia. Deformacją, w „barokowych” skrótach, postaci człowieka płci męskiej, zrazu zawieszona w próżni,

z czasem osadzonej w tło niezbędne dla podkreślenia treści, doprowadza do efektu pożądanej ekspresji. Przy tak znacznej deformacji, zmaltretowaniu bezmiejennego człowieka, autor jest o krok od utraty kontaktu z odbiorcą. Jednak Grzesiak doskonale panuje nad warsztatem w dążeniu do zamierzonego celu. Znakiem rysuje i komponuje obraz, posługując się wszystkimi środkami z dużą kulturą. I jeżeli forma wydaje się jeszcze niekiedy mało dynamiczna, to jest uzasadniona pełną metaforą, nostalgiczną treścią obrazu.

TERESA SKÓROWA

fot. Jan Maziejuk

KRYSTYNA ŁYCZYWEK mieszka w Szczecinie. Z wykształcenia — romanistka. Jest animatorką życia artystycznego w zakresie fotografii od początku lat 50-tych w woj. szczecińskim, następnie w kraju i poza jego granicami. Od 1977 roku obejmuje kierownictwo delegatury szczecińskiej ZPAF i wchodzi w skład Zarządu Głównego ZPAF.

Za twórczość artystyczną, pracę organizatorską, popularyzację technologii i teorii fotografii, liczne odczyty i publikacje w tym zakresie w kraju i za granicą uhonorowana licznymi nagrodami i odznaczeniami o najwyższej randze w kraju i na świecie. Posiada tytuł: *Honoraire Excellence FIAP*. Jest członkiem Rady Plastyki przy Ministrze Kultury i Sztuki.

Czy jesteś szczęśliwy, człowieku?

Czynna w dniach od 2 do 18 marca bieżącego roku w galerii słupskiego Biura Wystaw Artystycznych wystawa fotografii Krystyny Łyczywek miała swoją premierę w obszernych salach Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie. Aczkolwiek pojemność naszej „Baszty Czarownic” nie pozwoliła na ekspozycję wszystkich prac udostępnionych przez autorkę (około 300), to słupska wystawa zyskała w porównaniu z tamtą — na walorach nieodłącznych dla kameralnych wnętrz: zbliżenie dzieła do odbiorcy i jego skupiony, refleksyjny odbiór.

Na wystawę noszącą tytuł „Podróże” złożyło się kilka zestawów: „Po drodze”, „Przed domem”, „W muzeach”, „Na ulicy”, „Manifestacje”, „Transakcje”, „Dzieci”, „Młodzi”, „Moda” i „Twarze”, czyli parada scen rodzajowych i portretów uchwyconych wrażliwym okiem Pani Krystyny w dwudziestu krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie są to zdjęcia reporterskie dla prasy, choć w pierwszej chwili sprawiają takie wrażenie. Aparat fotograficzny Krystyny Łyczywek nie rejestruje bowiem ważnych dla reportera zdarzeń, lecz „maluje” portret człowieka w jego naturalnym otoczeniu, kostiumie i z przedmiotami, które go

określają, osadzają w trwałej lub przejściowej sytuacji życiowej. Artystka czyni to w sposób, który budzi szacunek dla „modela” i to wszystkich nacji, wieku, przynależności klasowej. A także prowokuje pytanie: „jak ci się wiedzie człowieku, co uczynisz za chwilę, czy jesteś szczęśliwy?”

W znakomicie wydrukowanym katalogu do omawianej wystawy Artystka wyznaje: „Na ogół podróżuję sama, rozmawiając z napotykanymi ludźmi. Aparat nie zawsze ułatwia kontakty, czasem powoduje gniewne reakcje. W Barcelonie zostałam spoliczkowana, w Nowym Jorku z trudem wytłumaczyłam Murzynowi, że to nie jego fotografowałam, a ozdobną bramę, w Savannach od represji uratowały mnie dzieci, w Albany pilnowali mnie dyskretnie policjanci, a w Eforii Nord ledwo uratowałam mego Rolleiflexa od wrzucenia do wody za te zdjęcia, które są na okładce katalogu”.

(ts)



Fot. Jan Maziejuk

Jerzy Fryckowski – wiersze

Jerzy Fryckowski pierwsze utwory opublikował w zbiorze „Dialog nienazwany” wydanym przez Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w 1981 roku. Był wówczas studentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Grupa poetycka stworzona przez niego i kolegów z uczelni „chciała powtórzyć historię znaną już w literaturze”. Liczyli na byt wiecznotrwały. „Dialog nienazwany” miał świadczyć o poetyckim wizerunku młodych w 1981 roku. Wszystko, jak zawsze w historii i w literaturze ma swój początek i koniec. Została poezja lepsza, gorsza...

Jerzy Fryckowski pozostał w Słupsku. Wiersze swoje publikował m.in. w ubiegłym roku w tygodniku „Zbliżenia”.

Jestem twoim bólem

Jestem twoim bólem
jestem twoim brzuchem
krzykiem zamrożonym wewnątrz
jestem twoją nocą
troską bezsenności
jestem twoim głosem
wypłakany w biel poduszki
jestem bólem twego bólu
jestem krzykiem twoich milczeń
rozłąką zaciśniętych dłoni
jestem godziną oczekiwań
poręczą długich schodów
jestem transfuzją twojej krwi
kroplówką twoich powiek
jestem płaczem twego bólu
wycieranym krzykiem położnej
jestem ojcem twego dziecka

Fantazja

Na zegarach twarzy
koniec przerwy obiadowej
gwar sezonu zaczyna rozgrywać swoje partie
na regularnych szachownicach
strefy ciszy
czerwień tablic ostrzegawczych
zakazów klękania na wydmach
spijania żywicy z drzew
podnoszenia dłoni w geście rozpacz
przestępywania z nogi na nogę
rwania włosów z głowy
kiedy nadchodzi zmrok
ludzie przychodzą wymieniać piasek
w swoich klepsydrach

Niech

Niech żaden kamień z ludzkiej ręki
rzucony w zieleni drzewa twojej nadziei
nie spłoszy śpiących tam wspomnień
niech doczekają świtu ptaki
co każdej wiosny wracają w to miejsce
gdzie już cicho o mnie

Sobota

Ta sobota
taka samotna
jak wigilia w roku
spokojna jak sen
naszego dziecka
nagrzany twoim ciałem

dzień się kończy
jak kolejny miesiąc
i tylko zegar
pozwala sobie
na spóźnienie

Ty jednak zawsze zdązysz
przynieść na czas
swoje czułości
dając je w zamian
za moje zapomnienie

dlatego ulegam twoim namowom
i nie wspominam słowem
o pustym portfelu

Prośba

kiedy zadrwię ostatni raz
i nawet nie rzucę swojego cienia
niosąc cmentarną lampę na plecach
nie witaj mnie niedzielą
nie rozścielaj białego obrusa
na naszym stole niedostatku
zamknij tylko szczelnie okna
zastój storami dachy miasta
i kiedy zacznę tonąć w ciemności
podaj mi usta na pomoc

Prometeusz

spójrz wstecz
Olimp pozostał niewzruszony
litera prawa też
i próżny twój wysiłek prometeusza
daleś swoją wątrobę
a miał być ogień
rozjaśniający ciemność
niosący wiarę i ciepło
oszukany zostałeś jak zwykły człowiek
śmieją się teraz z ciebie bogowie a ty jak
ćma wciąż w tę samą lampę bijesz skrzydłami



stoję przed lustrem
i widzę pierwszy siwy włos
dopisuję mu biografię cierpień
noszę go dumnie
jak medal za dzielność i odwagę
a kogóż ja uratowałem
oprócz plastikowego worka
zawiązanego na węzeł
z trzema kotami wewnątrz?

PREZENTACJE

Pierwszy kontakt z kulturą Koczały był dość nieoczekiwany. Silne bowiem wrażenie wywarł na mnie... rozległy grzyb panoszący się w pomieszczeniach Gminnego Ośrodka Kultury. Już od progu wiedziałam, że ta skromna placówka ma swój wiecznie powracający problem — remontowanie i odgrzybianie. Nawet w malutkim pomieszczeniu biurowym, będącym jednocześnie magazynem sprzętu i kabiną projekcyjną było zimno i wilgotno. Byłam pełna podziwu dla młodziutkiej dyrektorki — Janiny Jackiewicz, której zimno nie przeszkadzało w przygotowywaniu spódniczek dla małych artystek z zespołu wokalnego.

Tam, gdzie ludziom chce się działać...

Zastanawiałam się — co ją tu trzyma? Kiedy zapytałam dziewczyna zachnęła się:

— Gdy przed trzema laty zaproponowano mi pracę w GOK-u, bałam się ogromnie. Po tygodniu chciałam uciekać. O innej kulturze marzyłam. Zostałam jednak, bo otaczali mnie życzliwi ludzie. Pomogli mi wtedy, także dziś służą radą i opieką. Polubiłam tę pracę. Była moja, przeze mnie wymyślona i zrealizowana. Dzięki aktywnej pomocy nauczycieli, przy bardzo skromnych możliwościach, wiele już zdziałaliśmy.

Śladów twórczej obecności nauczycieli jest w Koczale sporo. W znacznej mierze jest to zasługa radnych z tego środowiska pracujących w Komisji ds. Kultury GRN. W czasach ograniczania działalności placówek kulturalnych radni z Koczały nie pozwolili na zmianę przeznaczenia pomieszczeń GOK-u. Inicjatorami wielu działań tej Komisji są nauczyciele Zbiorczej Szkoły Gminnej — Eugeniusz Dmytryszyn i Andrzej Piekarski. W Koczale oświata i kultura wzajemnie się przenikają i dopełniają. Nauczycielka Danuta Łukowicz prowadzi w GOK-u kółko plastyczne. Janina Czyż przygotowuje z dziećmi kolejną premierę w Teatrze Małych Form. Duszą placówki jest Felicja Drwęcka (z-ca dyrektora ZSG w Koczale), która od lat

społecznie prowadzi zespoły wokalne i taneczne.

— Dlaczego w Koczale nauczyciele chcą pracować na rzecz rozwoju kultury, a w innych wsiach nie można ich nakłonić do współpracy? — zapytałam.

Pani Felicja Drwęcka mówi, że źródło aktywności środowiska nauczycielskiego znalazła w tradycji szkolnej zapoczątkowanej przez Alfonsa Zabłońskiego, który potrafił zachęcić ludzi do pracy społecznej.

— Nie bez znaczenia jest także fakt, że wielu moich kolegów było wychowankami Liceum Pedagogicznego. W latach pięćdziesiątych należałam do zespołu tanecznego. Lata minęły a zainteresowania zostały. Dziś „odmładzam” się poprzez zajęcia z dziećmi. Nie wszystkie dzieciaki są jednakowo uzdolnione, ale zająć się trzeba nie tylko utalentowanymi. Ta praca daje naprawdę dużo satysfakcji. Młodzież jest na ogół bierna. Może za często ją wyręczamy w działaniu? Nierzadko trzeba ją zachęcać, wręcz popychać do twórczej pracy. Wytworzyła się spora luka między aktywnością dzieci ze szkół podstawowych i średnich. Organizacje młodzieżowe są słabe. Nikt nie potrafi zainteresować młodzieży dojeżdżającej do szkół średnich w miastach. Pokonanie takich barier jest zadaniem dla placówki kulturalnej na wsi. My, nauczyciele, mamy świadomość własnej roli w

środowisku. Może właśnie dlatego nawzajem się mobilizujemy, pomagamy sobie. O sprawach kultury dyskutujemy tak samo serio, jak o wynikach nauczania. W naszej szkole nie ma ludzi obojętnych. Nie ma takiej organizacji społecznej w naszej wsi, gdzie nie byłoby nauczycieli.

Obraz wiejskiej kultury to suma działań licznej rzeszy działaczy. Do osiągnięć może zapisać GOK w Koczale ciekawą organizację dyskotek, które społecznie „rozkręcają” młodzie: Kazimierz Wójcik, Krzysztof Drwęcki i Bożena Leśniak. Niełatwo jednak młodemu dogodzić. Postanowiono zwołać dyskusyjne forum, na którym rozważone miały być propozycje młodzieży. Rozesłano 200 imiennych zaproszeń. Tylko 16 osób okazało zainteresowanie... Pozostali nie przyszli.

Mimo tych pierwszych niepowodzeń do GOK-u coraz częściej przychodzą młodzie. Najaktywniejszej dwudziestce nie wystarczy już dyskoteki. Postanowiono założyć kabaret. Pomysłem tej gromadki jest także uczczenie 40-lecia PRL przez zorganizowanie letniej świetlicy w sąsiedztwie GOK-u. Do blasków koczalskiej kultury należałoby dorzucić kolejną premierę teatru lalkowego „Baju, Baj”. Jest nią baśń „O Szewczyku Dratewce” przygotowana pod czujnym okiem Janiny Jackiewicz. Z powodzeniem rozwija się także teatrzyk lalkowy w pobliskim Bielsku, gdzie prawie samodzielnie dzieci pracują nad inscenizacją „Balu u króla Lula”.

Równie aktywni są członkowie ZSMP w Łekini. To tutaj w klubie „Ruchu” działa ceniony animator — Jan Stankiewicz.

W tej placówce pani klubowa prowadzi zajęcia z dziecięcym teatrykiem. Warunki są bardzo skromne, a mimo to placówka przyciąga sporą grupę dzieci i młodzieży.

Oprócz blasków, ma też gminna kultura wiele cieni. W GOK-u brakuje sprzętów i palacza. Nikt nie chce sprzątać za 1500 zł miesięcznie. Młoda dyrektorka marzy o... telefonie, maszynce do pisania, kotarze na scenę. Zdumiewające, że o tym trzeba marzyć. Trudno pojąć, dlaczego nie można tych potrzeb po prostu zaspokoić.

Nie udało się także Koczale współpracy z miasteczkimi organizacjami społecznymi. Wiele słów, mało roboty — tak to tutaj oceniono. GOK zawarł umowę z Uniwersytetem Robotniczym w Miastku na organizację kursu języka niemieckiego. Z nauczania nic nie wyszło, bo organizatorzy nie zapewnili uczniom podręczników. Uczestnicy poczuli się oszukani. Drugim niewypałem okazał się kurs tańca towarzyskiego. Zarząd Miejski ZSMP w Miastku miał znaleźć instruktora. Młodzież z Koczali daremnie czekała na jego przyjazd.

Kłopotów w codziennej pracy placówki znalazłoby się znacznie więcej, ale działacze społeczni twierdzą, że nie ma ich tylko tam, gdzie nic się nie robi. I trudno im nie przyznać racji... Oby jednak tych problemów było jak najmniej.

JOLANTA NITKOWSKA

O kulturze słupskiej pisali...

Fotoreportaż z Domu Kultury w Bytowie:

Z czego znana jest bytowska kultura? Z upowszechniania folkloru kaszubskiego, oczywiście!

Oglądamy dobre zdjęcia Jana Maziejuka, ilustrujące pracę w poszczególnych sekcjach. W krótkim komentarzu wymieniono sporo nazwisk animatorów bytowskiej kultury.

Opuszczamy bytowski Dom Kultury, gdzie pod jednym dachem spotykają się ludzie różnego wieku, zawodów, zainteresowań. Tutaj znaleźli receptę na nudę i szarość powszechnego dnia.

Szkoda, że o folklorze kaszubskim, o którym pisano we wstępie, nie było więcej ani słowa.

(„ZBLIŻENIA” nr 13 z 29 III br.)

W encyklopediach, słownikach i katalogach próżno szukać nawet najmniejszej wzmianki o malarzu. A przecież jego obrazy, zwłaszcza portrety, zdobią salony najprzedniejszych pałaców na Sycylii we Włoszech, Francji, Peru.

Zapomniany mistrz

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

— Ojciec był częstym gościem w sali bilardowej na siódmym piętrze restauracji w Warszawie. Pewnego wieczora w 1919 roku podszedł do nas jakiś dystyngowany mężczyzna, czarnobrody, o niezwykle przenikliwym spojrzeniu. — Jestem malarzem — zwrócił się do ojca — i proszę, aby zechciał pan pozować mi do portretu. Ojciec początkowo opierał się, nigdy bowiem nie był modelem, czuł się więc zażenowany propozycją malarza. Ale mężczyzna nie ustępował. Ojciec zgodził się pozować. Nieznajomym artystą malarzem okazał się sławny portrecista Michał du Laurans.

Tak rozpoczął swoje wspomnienie o malarzu — o którym w końcu XIX wieku warszawscy i zagraniczni krytycy pisali, że jest jednym z najlepszych portrecistów swej epoki — Władysław Swat z Ustki, sędziwy starszek, kochający malarstwo i sam malujący.

Od spotkania w restauracji między malarzem a ojcem pana Władysława — Julianem Swatem zrodziła się prawdziwa przyjaźń. Michał du Laurans namalował portret „stałego gościa sali bilardowej”, a później także jego żony. Malarz nigdy nie zapominał złożyć serdecznych życzeń z okazji świąt czy też imienin. Przy stole biesiadnym był zawsze bardzo dystyngowany, unierzejmy i dowcipny. Trudno było go nakłonić do rozmowy na temat jego sukcesów artystycznych.

Pracownia malarza mieściła się na Placu Zbawiciela, w wysokiej kamienicy, w specjalnie przystosowanej mansardzie. Część sufitu była oszklona, dając jednolite oświetlenie sztalugi i miejsca, na którym pozowała osoba portretowana.

— Byłem tam kilka razy — mówi pan Władysław Swat — ale najbardziej utkwił mi w pamięci jeden z końcowych seansów malowania obrazu „Hiob na pustyni”. Laurans przenikliwym spojrzeniem badał model. Panowało całkowite milczenie. Mistrz w wielkim skupieniu obracał się

kolejno ku modelowi z podniesioną na wysokość oczu hebanową laseczką, po czym jak tygrys doskakiwał do obrazu i końcem długiego pędzla robił, nieuchwytnie okiem laika, poprawki. Po seansie weszła na chwilę młoda, sympatyczna kobieta. Wtedy malarz z galanteryjnym ukłonem oznajmił: „Moja żona, góralka”. „Góralka” nic nie mówiąc uśmiechnęła się i znikła gdzieś w obszernej mansardzie.

Laurans potrafił znakomicie uchwycić podobieństwo i cechy charakterystyczne portretowanych — energią, inicjatywę, przedsiębiorczość i silną wolę. Oglądając portrety wielu innych, również renomowanych malarzy nigdy nie doznałem takich wrażeń; były to najczęściej poprawnie wykonane podobizny ludzi i niewiele więcej.

Michał du Laurans był Polakiem. Urodził się w 1873 roku w rodzinie inteligentnej. Oto, jak sam wspominał swoje malarskie początki i młodość. (Podaje za tygodnikiem „Radio i Telewizja” nr 36 z 7 kwietnia 1958 roku).

„Zacząłem od tego, że ojciec — ot tak, dla zabawy, rysował mi różne sylwetki w kciętach... A potem zacząłem sam próbować. Chciałem koniecznie zostać malarzem. Wtedy ojciec się nie zgodził. Poróżniłem się z ojcem i uciekłem z domu. Minęło 14 lat... Początki były trudne. Musiałem zarabiać na życie. W Warszawie u jednego rzemieślnika malowałem krajobrazy na łózkach blaszanych. Takie łózka były wtedy modne. To był XIX wiek. Dostałem 30 kopiejek za łóżko, a za kołbę 15 kopiejek i tak się żyło. W jednym pokoju lakiernik lakierował łóżko, a w drugim ja malowałem. Gdy lakiernik się gotował był taki dym, że raz kot wibnął szybę w oknie i uciekł, kanarek zdechl, a ja malowałem. Potem byłem uczniem Gersona”...

Studiował w Akademii Malarskiej w Monachium, następnie w Paryżu. Oprócz Ger-

sona wykładali tam wówczas tacy sławni malarze, jak Jean Paul Laurans, Benjamin Constans, James Whistler. Przez wiele lat mieszkał w Warszawie i tam głównie malował. Był — jak pamięta go pan Władysław Swat — człowiekiem bardzo dowcipnym. Dlatego chyba też łatwo mu było zawierać znajomości. Dzięki nim malarz mógł przetrwać złe chwile, a czasem i całe tygodnie. Zdarzało się, że korzystał z obiadów przynoszonych mu przez obcych. Zamówień na portrety, w których się specjalizował, nie brakowało. Ale mistrz potrafił też unieść się honorem...

Kiedys, na przykład, podobno miał przyjść do pracowni malarza adiutanta Józefa Piłsudskiego z propozycją wykonania portretu marszałkowi. Otrzymał krótką odpowiedź: „Jeżeli pan marszałek życzy sobie abym go sportretował — powiedział Michał du Laurans — niech zechce pofatygować się do mojej pracowni”. Pan marszałek, oczywiście, nie przyjął takiego „zaproszenia”.

Młodzi o słupskiej kulturze

Jeszcze kilka lat temu Słupsk pretendował do czołówki najaktywniejszych ośrodków kulturalnych w kraju. Słupszczanie byli dumni z osiągnięć artystycznych miasta. Dziś jakby inny jest obraz słupskiej kultury. Odmienne są także opinie mieszkańców — uczniów jednej ze słupskich szkół średnich.

W opowiadaniach słupszczan wciąż jeszcze żyje miasto z lat sześćdziesiątych. Teatr, do którego na premiery schodziła się „elita intelektualna” a nie młodzież szkolna, czy monstrum zwane „widownią zorganizowaną”. Znajomi, którzy byli u nas poprzednio 7 lat temu, twierdzą, że Słupsk poszarzał. A szarość to stagnacja.

Machinalnie sięgam po gazetę. No cóż! Wybór ograniczony. Dokładnie dwie możliwości: trzeci raz na „Poszukiwany”...

Podczas nalotu hitlerowskich bombowców na Warszawę w 1939 roku, bomba lotnicza zburzyła mieszkanie pana Władysława Swata. Wszystko zostało zniszczone pod gruzami, tylko dziwnym trafem portret ojca, pędzla Lauransa spadł, aż do piwnicy razem z belgijskim lustrem. Portret jest dziś w posiadaniu najmłodszej siostry pana Swata, natomiast „Hiob na pustyni” znajduje się w plockim muzeum.

Dziwnie potoczyły się też losy samego mistrza. W 1958 roku, 85-letni już Michał du Laurans mieszkał w Płocku i w tamtejszym muzeum diecezjalnym pełnił funkcję odźwiernego i jednocześnie przewodnika. W Płocku można też najprawdopodobniej znaleźć jego grób.

W encyklopediach, słownikach i katalogach próżno szukać nawet najmniejszej wzmianki o malarzu. A przecież jego obrazy, zwłaszcza portrety, zdobią salony najprzedniejszych pałaców na Sycylii we Włoszech, Francji, Peru.

albo ewentualnie drugi raz na „Indyka”... Decyzja zapadła. Czwarty raz na „Poszukiwany”... Ostatecznie — renomowany film.

Bardzo silnie odczuwa się w Słupsku brak ofert na ciekawe, a zarazem wartościowe spędzenie wolnej godzinki. Oczywiście, działają koła zainteresowań przy klubach osiedlowych, MOK czy MDK. Jednak prowadzą one działalność w przysłowiowych czterech ścianach. Słowem, sztuka dla sztuki. Od czasu do czasu zjeżdżają do Słupska profesjonalni artyści. Zdarza się to rzadko, a mimo tego mieszkańcy nie są w dostateczny sposób poinformowani.

Tak było w przypadku wieczoru poezji Norwida w wykonaniu Treli i Kurpiowskiej oraz wielu innych imprez. Bardzo dużo pisała prasa regionalna o grupie teatralnej „Rondo”. Naczytaliśmy się o sukcesach zagranicznych. Niestety, wielu miłośników sztuki teatralnej na deskach scenicznych jeszcze „Ronda” nie widziało.

Często marazm i brak inicjatyw kulturalnych tłumaczy się brakiem lokali, w których twórcy prezentowaliby efekty codziennej pracy twórczej. Trudno jednak usprawiedliwić taki stan rzeczy w Słupsku, gdzie miejsce prezentacji chyba można znaleźć.

Gdybym miała wymienić to, co mi się w Słupsku podoba, byłyby to: dwa kina zupełnie wystarczające dla jego mieszkańców, piękny basen, teatr, który choć dla niektórych prowincjonalny, dla mnie jest dobry. Szkoda tylko, że lepsi tak szybko go opuszczają. Odnosi się wrażenie, że nie mają tu ciekawych perspektyw. Jest to zatem naprawdę prowincja kulturalna.

Jako mieszkanka Słupska, w wolny wieczór piątkowy lub sobotni mogę iść tylko do jednego z dwóch kin lub do jedyne go teatru. A ja tak bardzo lubię operę i operetkę. Moje zainteresowania muszę, niestety, zaspokajać tylko w Warszawie. W głowie się nie mieści, żeby miasto wojewódzkie miało tylko dwa kina, podczas gdy taki np. Grudziądz ma ich osiem. Tak więc w wolny wieczór sięgam po książkę lub siadam przed telewizorem. Jestem uczennicą klasy maturalnej i ze smutkiem myślę o tym, że jedyną uczelnią, w której się mogę dalej uczyć jest WSP. Uważam, że to za mało. Podobnie niewielkie są możliwości wyboru szkoły średniej w Słupsku.

Jeśli chodzi o życie kulturalne, to odnoszę wrażenie, że coraz więcej ludzi nie ma ochoty się w nie angażować.

Ja po prostu kocham teatr! W Słupsku reżyserzy wnoszą do spektakli szereg innowacji. Dzięki temu sztuki stają się bliskimi nam widowiskami. Szczególnie utkwiły mi w pamięci następujące spektakle: „Intermedia”, „Sejm kobiet”, „Baba-dziwo”, „Mały książę”. W przeciwieństwie do

wystawianych sztuk wygląd wnętrza teatralnego pozostawia wiele do życzenia!

Słupski teatr przypomina mi trachę tramwaju, do którego się wsiada, ale nie warto w nim usiąść, bo trzeba pilnować wyjścia, by się nie spóźnić na moment wkroczenia na deski „wielkiego” teatru. Tam przed „prawdziwą” publicznością zagra się epizod. Nie mam nic przeciwko epizodom. Podobno od nich zaczynali wszyscy wielcy aktorzy... Kiedy jednak widzę „słupską gwiazdę” wygłaszającą w którymś z dużych teatrów jednozdaniową kwestię, to... Ech! Szkoda słów! Mimo wszystko teatr to jeden z mocniejszych atutów życia kulturalnego. Oprócz tego są kina. O WDK-u, MDK-u, klubach młodzieżowych nie mogę nic powiedzieć, bo tam nie chodzę. Głośno jest natomiast o słupskich dyskotekach. Są jeszcze kawiarnie. Stały się miejscem spotkań towarzyskich, ale nastroju dawnych kawiarenek, gdzie toczyły się dyskusje intelektualne nie ma i już chyba nie będzie. Jest jeszcze świat muzyki. Tej poważnej i tej najnowszej uwidocznionej kolejkami po bilety na występy znanych zespołów. Muzyka zbytnio mnie nie interesuje. Raz jednak poszłam na koncert symfoniczny. Na moje nieszczęście był to tzw. „koncert szkolny”. W trakcie słuchania muzyki mimowolnie spojrzałam w bok i ze zgrozą stwierdziłam, że wiele osób pisze coś na kolanie. Dziewczynka z podstawówki, siedząca w drugim rzędzie robiła na drutach. To było oszustwo. Podobne sytuacje zdarzają się na spektaklach teatralnych, na które zaganiane są szkoły. Uważam, że takie upowszechnianie kultury jest jej profanacją i niesie ze sobą także upokorzenie artystów.

Fenomenem słupskim są księgarnie. Jest coś z zabawy w chowanego, gdy szuka się książek. Widzi się upragnioną książkę na wystawie. Na drzwiach zaś wisi karteczka: sklep nieczynny do... Przychodzę za dwa dni. Karteczka nadal wisi, ale książki na wystawie już nie ma. Kilka razy już coś takiego przeżyłam. Wiele rzeczy mogę zrozumieć, ale po co robić komuś nadzieję?

Jest jedna „słupska rzecz”, którą się chwale — wielki zbiór dzieł Witkacego. Kiedyś, w rozmowie ze znajomymi, mogłam z dumą powiedzieć, że właśnie u nas jest jedna z największych kolekcji jego portretów.

Słupsk nie jest miastem, w którym chciałabym w przyszłości zamieszkać. Z rozmów z przyjaciółmi wiem, że wielu z

nich podziela moją opinię. Trudno powiedzieć dlaczego tak jest. Może się nudzimy? Powie ktoś, że są kina, teatr, muzeum, domy kultury... Są, ale nie potrafią przyciągnąć i zachęcić do działalności. Moi koledzy wracając z wakacji spędzonych w innych miastach zachwycają się nimi i mówią, że chcieliby tam żyć. Ja też chciałabym.

Najwięcej czasu spędzam w domu i u przyjaciół, bo po „zaliczeniu” filmu w kinie „Milenium” i obejrzeniu raz w miesiącu sztuki teatralnej czas wolny muszę sobie sama organizować. Sporo inicjatyw w zagospodarowaniu wolnego czasu nastolatków przejawia Młodzieżowy Dom Kultury organizując kursy nauki języków obcych, gry na instrumentach, kroju i szy-

cia, tańca. Wielkim powodzeniem cieszą się także zajęcia aerobiku.

Uważam, że życie w Słupsku jest zbyt monotonne. Za mało jest miejsc, gdzie atrakcyjnie można spędzić wolny czas. Dwa kina i jeden teatr to za mało dla prawie stu tysięcy miasta. Niewielki wybór ma też młodzież chcąca się w Słupsku uczyć. Dwa licea ogólnokształcące, liceum ekonomiczne i kilka techników. Sieć szkolnictwa średniego jest bardzo uboga. A gdzie może się kształcić młodzież po maturze? Jedyne WSP, która coraz bardziej traci autorytet. Nie każdy może sobie pozwolić na naukę poza Słupskiem. Pozostaje więc jedyna uczelnia, do której się niechętnie złoży papiery...

opr. J. N.



Słupsk nie jest miastem, w którym chciałabym w przyszłości zamieszkać...

Fot. Jan Maziejuk

Gorzki smak czekolady

Fragmenty
wspomnień
z pierwszych
lat
w Słupsku (6)

KAZIMIERZ KWIECIEŃ

Dyrektora handlowego mgr. Pileskiego powołano na stanowisko wiceprezydenta miasta. Zaś prezydent miasta inż. Gryczuk namawiał mnie, by przyjąć jego stanowisko, gdyż zamierzał wyjechać do Szczecina. Nie zgodziłem się. Załowałem później tej decyzji, gdyż w Centralnym Zarządzie Przemysłu Cukierniczego w Warszawie nastąpiły zmiany personalne i dyrektorem naczelnym został ob. Swidwiński; znałem go z czasów spółemowskich — gdy był na podrzędnym stanowisku — i już wtedy był do mnie źle usposobiony.

Z jego polecenia do Słupska przyjechał niejaki Zalcman i objął stanowisko kierownika technicznego, gdyż inż. Porożyński zrezygnował z tej funkcji i został głównym mechanikiem. Kolega Zalcman przyjechał z Katowic. Mówił, że jest Ślązakiem i że ma dwadzieścia pięć lat praktyki cukierniczej. Dopiero później okazało się, że był tylko ciastkarzem w jakiejś małej wytwórni.

Ucieszyłem się, gdyż sądziłem wówczas, że przyszedł fachowiec. Już pierwszego dnia zapytałem go, czy mógłby opracować recepturę i kalkulację na drażetki likworowe. Odpowiedział bez namysłu, że za trzy dni będę je miał. Istotnie, trzeciego dnia przyniósł mi starannie opracowane receptury i kalkulację wstępną. Znowu się ucieszyłem. Ale tego samego dnia zmuszony byłem powiedzieć kilka cierpkich słów planiście, kol. Stelmachowiczowi, gdyż z Warszawy telefonowano z wymówką, że dział planowania nie nadesłał sprawozdania.

Kol. Stelmachowicz miał opinię zdolnego i pracowitego planisty. Stropił się i przeprosił, tak tłumacząc opóźnienie:

— Bo ten nowy, techniczny, p. Zalcman przyszedł do mnie i zapytał, czy nie umiałbym zrobić receptury i kalkulacji na drażetki likworowe? Przypadkowo kiedyś byłem w „Bałtyku” w Gdańsku i zapoznałem się z takimi recepturami i kalkulacją. Więc zrobiłem to panu Zalcmanowi.

Dlatego przegapiłem termin sprawozdania...

Mimo to, polubiliśmy kol. Zalcmana. Był koleżeński, uczynny, grzeczny i staranny, choć na sprawach fabrycznych niewiele się znał. Trochę kaleczył nasz piękny polski język. Mówił np. „ruła”, a na uwagę, że mówi się „rura” odpowiadał, iż na „Śląsku” mówi się „ruła”.

Pewnej kwietniowej soboty, tuż koło godz. 13-tej, gdy dzień pracy miał się ku końcowi, otrzymaliśmy telefonogram: „W niedzielę dyrektor fabryki, kierownik techniczny, główny mechanik, sekretarz POP i przewodniczący Rady Zakładowej stawia się na naradę w Centralnym Zarządzie Przemysłu Cukierniczego w Warszawie o godzinie 10-tej rano”.

Diabli wzięli niedzielny wypoczynek.

Wymęczeni, wymięci w ciasnocie wagonu, wysiedliśmy rano w Warszawie i po śniadaniu w barze mlecznym byliśmy na miejscu, na „niżynaradzie”, bo w rzeczywistości przekazano nam dyrektywę dotyczącą zwiększenia wydajności wszystkich maszyn przez całkowite przesunięcie przekładni i włączenie maszyn i urządzeń na najwyższy bieg. Siedzący obok mnie stary inżynier-mechanik Porożyński jęknął:

— To straszne! Niedopuszczalne, karygodne! Wszystkie maszyny diabli wezmą! Niech pan zaprotestuje!

— Zaprotestuje? Gadanie! Już na poprzedniej naradzie na temat zwiększenia wydajności pracy wyskoczyłem jak Filip z konopi że wykonam plan roczny połową zatogi, pod warunkiem zachowania pełnego funduszu płac. Wywołałem tym wściekłość przewodniczącego narady. Krzyczał, że teraz jest ustrój socjalistyczny i czas, abym zerwał z kapitalistycznymi kategoriami myślenia...

Wróciliśmy do Słupska w poniedziałek rano, najpierw zwołaliśmy nakazane „narady”, a raczej przekazaliśmy dyrektywę i maszyny włączyliśmy na najwyższy bieg. Awariom nie było końca. Inżynier Porożyński zniechęcony wypowiedział umowę

o pracę. Po pewnym czasie cofnięto zarządzenie.

W czasie wizyty naczelnego dyrektora zapytany o opinię o Zalcmanie powiedziałem, że to dobry kolega, ale kwalifikacji na stanowisko nie posiada. Naczelnny zaszkodził mi:

— Dajcie mu podwyżkę, może to go pobudzi?

Niestety Zalcman nie doczekał podwyżki, gdyż wkrótce z powodów osobistych zrzekł się stanowiska nie czekając nawet na zajęcie stanowiska przez Radę Zakładową. Zaprosił kilka osób z kierownictwa na dobre wino pożegnalne i wyjechał.

W tym czasie nawiązałem kontakt z naczelnikiem Poczty i Telegrafu w Słupsku p. Arciszewskim, a przy jego życzliwej pomocy również z Dyrekcją Poczty i Telegrafów w Szczecinie. Chodziło o odstąpienie nam przyległych do tylnych ścian fabryki budynków i terenów zajmowanych przez Urząd Telekomunikacyjny. Chcieliśmy je przeznaczyć na garaże i magazyny.

Dla jasności dodam, że chodziło tu o główne podwórze dawnej „Pomorzanki” od ulicy Przemysłowej, gdzie obecnie mieszczą się biura, magazyny, warsztaty, szatnie, urządzenia kąpielowe, laboratoria, działy produkcyjne czekoladowni i karmelarni. Wtedy była to zaniedbana posesja, nie brukowana, gdzie na grząskim gruncie wybujała trawa. Do murów fabrycznych przylegały garaże poczty. W zamian proponowałem Dyrekcji Poczty i Telegrafów zaniedbaną, ale rozległą posesję, oddaloną znacznie od fabryki przy ul. Kołłątaja, wzdłuż torów kolejowych. Dyrekcja Poczty i Telegrafów w Szczecinie wyraziła zgodę. Przed „Pomorzanką” powstały więc perspektywy rozwojowe. Jednak formalności związane z przekazaniem obiektów trwały dość długo.

Pan Ludwiś opuścił stanowisko p.o. kierownika karmelarni i odszedł z fabryki. Z Bydgoszczy sprowadziłem karmelara p. Kłosa i mianowałem go brygadystą, zaś na stanowisko kierownika karmelarni został zaangażowany majster Semkowicz. Byli porządnymi ludźmi — pracowici, znający się na produkcji — ale predyspozycji kierowniczych żaden z nich nie miał. Przewodnicząca Rady Zakładowej była teraz Maria Wiśniewska, kierownikiem kadry kol. Śmietanko. Nowa przewodnicząca od początku opacznie pojęła swoją rolę i usiłowała uczestniczyć w zarządzaniu za-

kładem, wtrącała się do spraw czysto administracyjnych, o których nie miała pojęcia (była zawiązką w dziale „Krówek”) i wkrótce stanęła w ostrej opozycji w stosunku do mnie. Przyłączył się do niej kierownik kadry Śmietanko oraz dwie osoby z Rady. W ten sposób doczekałem się w spokojnej i zdyscyplinowanej dotąd załodze grupy nieformalnej.

Zakład pracował już na dwie zmiany.

Pewnego dnia p. Wiśniewska wszczęła alarm, że w karmelarni brygadysta Kłos, ten spowadzony przeze mnie z Bydgoszczy dopuścił się sabotażu, bo 300 kg karmelków uległo zawilgoceniu. Kłos został aresztowany. Przebywający w fabryce na kontroli księgowości inspektor z Centralnego Zarządu Przemysłu Cukierniczego zawiadomił telefonicznie o tym fakcie dyr. Świdwińskiego, który niezwłocznie przysłał 3-osobową komisję składającą się z dyrektorów fabryk. Dwóch z nich orzekło w protokole, że 300 kg karmelków zostało zepsutych z winy brygadysty, ale trzeci członek komisji, starszy mężczyzna, dyrektor techniczny „Goplany” złożył votum separatum i stwierdził, że karmelki wchłonęły trochę wilgoci, gdyż są higroskopijne jak wszystkie cukierki, a że podczas wieczornego deszczu okna były otwarte, zaś karmelki leżały w beczce nie zakrytej — przeto są mokre, ale za kilka dni wyschną. Komisja opieczętowała beczkę i wyjechała.

Kierownik kadry chciał wysłać Kłosa do aresztu zwolnienie z pracy, ale na to nie pozwoliłem.

Minęło blisko dwa tygodnie. Pewnego dnia wezwano mnie i głównego księgowego do kancelarii szefa UB. Głównym księgowym był jeszcze kol. Szymkowiak.

— Zamknij nas, jak Kłosa — westchnął i włożył do kieszeni zawinięte w papier drugie śniadanie.

Szef UB, w stopniu kapitana, przyjął nas w swoim gabinecie bardzo uprzejmie, poczęstował papierosami i zapytał, co słychać w fabryce? Zaczęłem mówić o postępującym rozwoju, o planach perspektywicznych i bieżących, poinformowałem o wykonanej w ubiegłym miesiącu produkcji. Wówczas on wyjął spod książki leżącą na biurku, kartkę i cytował nasze wyniki produkcyjne na wcześniejsze miesiące. Uśmiechał się.

— Widać z tego, że co miesiąc macie lepsze rezultaty i że „Pomorzanka” się rozwija. A jakie macie kłopoty?

— A co będzie z tym? — wskazałem palcem na podłogę. Wiedziałem, że w piwnicach gmachu jest areszt i że tam siedzi mój Kłos. — Obywatel kapitan chyba każe go wypuścić? Nie zawinił przecież...

O Słupskim Klubie Młodych Pisarzy pisano często ze sporym uznaniem nie tylko w prasie regionalnej ale i krajowej. Muszę z żalem stwierdzić, że owa działalność nie jest należycie udokumentowana. Nie prowadzi się kroniki Klubu. Dokonania ludzi pióra po prostu zostają zapomniane. A przecież środowisko to posiada niemałe tradycje.

Ruch młodoliteracki - wczoraj i dziś

JERZY ROMANOWICZ

Pierwsze utwory literackie, ówczesnie młodych słupskich poetów zaczęły pojawiać się na łamach „Głosu Koszalińskiego” w latach 1955—1956. Środowisko to znacznie uaktywniło się pod koniec lat pięćdziesiątych. Momentem szczególnie ważnym było utworzenie w roku 1958 Grupy Literackiej „Meduza”. W jej skład weszli m.in. Marta Aluchna-Emelianow, Tadeusz Sokół, Zbigniew Kiwka, Tadeusz Pawlak, Anatoliusz Jurek i Stanisław Misakowski.

Grupa „Meduza” nie reprezentowała wyraźnie sprzeczowanego programu i oprócz zbiorowych wystąpień na łamach miejscowego dziennika nie zaznaczyła trwałej swojego istnienia. Żywoć tego zgromadzenia nie był długi. Przekształciło się ono w grudniu 1959 r. w Koszaliński Klub Literacki. W tym czasie wydano pierwsze almanachy literackie — m.in. „Morski nasyjnik” (1960 r.), „Próba liryki” (1963 r.) oraz „Koszalińskie arkusze poetyckie” — a wymienieni autorzy wydali pierwsze książki.

Przełomowym dla środowiska słupskich i koszalińskich literatów był rok 1965. W tym roku utworzono Oddział Koszaliński Związku Literatów Polskich i powstał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Akces do KKMP w momencie jego utworzenia zgłosiło 16 adeptów sztuki pisarskiej z ówczesnego województwa koszalińskiego. Prezesem został Leszek Bakula. W skład Zarządu weszli ponadto: Zbigniew Kiwka, Czesław Kuriata, Stanisław Misakowski i Kazimierz Kwiecień. W czerwcu 1966 r. ukazały się w „Głosie Koszalińskim” wiersze członków Klubu.

Spore nadzieje wiazali twórcy z miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Pobrzeże”, który w pewnym stopniu zastąpił brak lokalnego wydawnictwa. Jednym z większych osiągnięć „Pobrzeża” było stworzenie w latach 1969—1974 trybuny poetyckiej. W tym okresie na łamach tego miesięcznika ukazało się około 300 utworów literackich, przeciętnie 5 w numerze. „Pobrzeże” ogłosiło ponadto 11 debiutów, w tym 2 prozatorskie. Ze Słupska debiutowali: Tadeusz Łoś i Waldemar Mystkowski.

Koniec lat sześćdziesiątych i początek siedemdziesiątych, mimo ważnych w tym czasie wydarzeń literackich w kraju — to „chude” lata dla słupskiego środowiska literackiego. Podjęta na początku 1972 r. próba wydania almanachu KKMP zakończyła się fiaskiem.

Dopiero od przełomu lat 1974/1975 młodzi ze Słupska zaczęli publikować swoje wiersze i opowiadania w wielu czasopiśmie ogólnopolskich: „Poezji”, „Miesięczniku Literackim”, „Twórczości”, „Nowym Wyrazie”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Literaturze”.

W tym też czasie w Wyższej Szkole Pedagogicznej prężnie działała grupa poetów-studentów (Z. Babiarz, A. M. Bok, A. Kirko, M. Kościeński), która organizowała m.in. mityngi poetyckie. Uwieńczeniem tych działań był styczniowy „Magazyn Literacki” w „Głosie Pomorza” z 1977 r. W 1979 r. organizatorem sesji z ramienia Zarządu Wojewódzkiego ZSMP był Zbigniew Babiarz-Zych. Jej efektem był wydany wtedy afisz poetycki (Z. Babiarz, Resztki

zerwanych afiszy z fragmentami wierszy, „Pobrzeże” 1979, nr 4, s. 15). Później zorganizowano jeszcze dwie sesje: w listopadzie 1980 r. w Rowach z okazji 15-lecia działalności Klubu (Z. W. Fronczek, Słupsk — Rowy 22—23 listopada 1980, (w:) „Nowy Wyraz” 1981, nr 1, ss. 134—135) oraz w październiku 1981 r. w Bytowie pn. „Czy umiałeś, przeżyć, zrozumieć, zapamiętać — niechlubne z powodu niewłaściwej postawy niektórych uczestników (Z. Babiarz, Awantura na zamku, „Zbliżenia” 1981, nr 45, s. 6). Obecnie SKMP przygotowuje się do czwartej sesji literackiej.

Zasługą Oddziału Związku Literatów Polskich w Słupsku było m.in. zainicjowanie serii wydawniczej „Pobrzeże literackie”.

Klub przy ZW ZSMP, skupia obecnie ponad 20 członków. O tym, jak znacząca to grupa twórców, mogą zaświadczyć laury zdobyte w ostatnich paru latach przez młodych słupszczyzan w liczących się konkursach literackich (Janusz Adam Kobierski — I nagroda w konkursie im. Jana Spiewaka w Swidwinie (1974 r.), Mirosław Kościński — laureat „Czerwonej Róży” (1975 r.) i „Lauru Jaszczurowego” (1978 r.), Janusz Adam Kobierski, Mirosław Kościński i Bolesław Urban — trzy pierwsze nagrody w konkursie literackim w Gdańsku (1976 r.), T. Łoś — doroczna nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka (1977 r.), Lechosław Cierniak — wyróżnienie w Konkursie Prozatorskim im. Wilhelma Macha w Rzeszowie (1978 r.), Waldemar Mystkowski — Warszawska Jesień Poezji 1978, wyróżnienie i nagroda publiczności w konkursie im. J. Spiewaka (1979 r.) oraz II wyróżnienie (1980 r.), II nagroda za tom poezji „Wilgotny język polski” w Koszalińskim Konkursie Literackim (1983 r.), Andrzej Wojciech Guzek — II nagroda w dziale poezji w V Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O laur Gryfa Słupskiego” (1980 r.), w konkursie „Jesiennej Chryzantemy” w Płocku (1980 r.) — II miejsce i nagroda specjalna Jerzego Dunin-Borkowskiego (kuratora Muzeum Narodowego w Krośniewicach), III nagroda i wyróżnienie za poezję w Koszalińskim Konkursie Literackim (1983 r.), Stefan Miler — wyróżnienie w konkursie „Jesiennej Chryzantemy” w Płocku (1980 r.), wyróżnienie w konkursie „Rubinowej Hortensji”, Wiesław Ciesielski — II nagroda oraz Zdzisław Drzewiecki — III nagroda w 3 Ogólnopolskim Konkursie im. Zbigniewa Krupowicza w Słupsku (1983 r.).

Członkowie Klubu wydali już kilka tomików poezji. Są to: J. A. Kobierski (Zza siódmej skóry” 1978), W. Mystkowski („Słowa do fabuły”, Czytelnik, 1979, „Sce-

ny batalistyczne”, SSK „Pobrzeże”), 1983, M. Kościński („Możliwe, że się obudzimy” w serii „Pokolenie, które wstępuje” 1978), A. W. Guzek („Wypowiedź” Wydawnictwo Morskie 1968, „Otwieranie oczu” SSK „Pobrzeże” 1983, „Spór o istnienie” Wydawnictwo Poznańskie, 1983) i L. Cierniak („Nadwaga” (w:) Wszystkie barwy tęczy, Iskry, Warszawa, 1979 — proza).

Kontynuowana jest seria indywidualnych i zbiorowych tomików poetyckich. W jednym z nich „Pobrzeże Literackie — Poezja młodych”, zaprezentowało się 10 autorów (J. A. Kobierski, W. Mystkowski, A. W. Guzek, K. Bakula, W. Gauza, W. Ciesielski, T. Łoś, J. Dąbrowa-Januszewski, Z. Prusiński i A. Zak). Kolejny tomik Pobrzeża Literackiego poświęcony jest poezji grupy Dialog Nienazwany utworzonej w słupskiej WSP w 1979 r. (Z. Drzewiecki, Stefan Jażdżewski, Jerzy Fryckowski).

Mimo trudności wydawniczych młodzi mogą liczyć na Oficynę Wydawniczą działającą przy SSK „Pobrzeże”. We wrześniu 1983 r. ukazał się Almanach pisarzy słupskich zatytułowany „Obecność”. Znalazły się w nim także wiersze młodych poetów: W. Ciesielskiego, M. Kościńskiego, J. Sieńki i S. Sosnowskiego. W najbliższym czasie kilku młodych poetów wyda kolejne książki. M.in. M. Kościński złożył książkę pt. „Przyptywy, odpływy” w Wydawnictwie Morskim. Debiutujący, jako młodzi poeci A. W. Guzek i W. Mystkowski, dziś są już uznanymi w środowisku twórcami.

Warto zaznaczyć, że młodzi poeci z województwa słupskiego często przedstawiają swoją twórczość na łamach „Głosu Pomorza”, tygodnika „Zbliżenia” oraz Wojewódzkiego Informatora Kulturalnego „Gryf”.

Tradycją stał się „Słupski Październik Literacki”, który jest również okazją do prezentacji dorobku członków Klubu. Odbywają oni spotkania, na których czytają swoje wiersze, mówią, czym jest dla nich poezja. Brakuje w Słupsku częstszych spotkań ze znanymi literatami i krytykami, które są dla członków Klubu nie tylko okazją do prezentowania własnej twórczości ale przede wszystkim okazją do wysłuchania rzeczowych ocen jakże pomocnych w dalszej twórczości. Ostatnio odbyły się takie spotkania z Krzysztofem Gąsiorowskim.

Należy dodać, iż do opieki nad młodymi twórcami aktywnie włączył się Oddział Związku Literatów Polskich.

POCZTA REDAKCJI

w obronie czytelnika

Często słyszymy narzekania na współczesną poezję polską — że jest trudna, metaforycznie zagmatwana, niezrozumiała. Bronię ją przed tym zarzutem, uzasadniałem, że każda twórczość w jakiejś mierze powinna odzwierciedlać czas, w którym powstaje. A że nasze czasy pełne są kontrastów, przeciwieństw, wręcz niewiarygodnych odkryć technicznych i naukowych, zatem i poezja w formie i treści musi być trudniejsza niż ta, na której uczyły się poprzednie pokolenia.

Po przeczytaniu w czwartym numerze „Gryfa” fragmentów poematu historycznego Jerzego Dąbrowy-Januszewskiego „Jesień-Anny” zdecydowanie stanąłem po stronie tych, którzy stawiają zarzuty pod adresem niektórych współczesnych poetów.

Wahałem się, czy warto pisać, skoro ta „perełka” ukazała się w piśmie o wąskim zasięgu. W końcu doszedłem do wniosku, że nie tylko warto lecz trzeba. Przemawiają za tym racje społeczne. Autor bowiem umiejętnie wykorzystuje aktualną tematykę pomorską. Może to spowodować, iż czynniki kulturalne dbając — i słusznie! — o popularyzację historii naszej ziemi, z i tak skromnej kiesy wytrząsną środki finansowe, aby to „dzieło” ukazało się w formie książkowej. W księgarniach „z braku laku” i taka pozycja może znaleźć nabywców. Ale czy przyniesie chlubę naszej, tak bogatej w historię ziemi? A ponadto, co by się stało, gdyby została skierowana w ramach popularyzacji kultury regionu do miejscowych szkół?! Współczesny nauczycielom.

W lepszej sytuacji znajduje się zwykły czytelnik. On, podobnie jak ja, będzie biedził się, przymierzał, rozważał, doszukiwał sensu, aż wreszcie rzuci to w kąt i wróci do choć już przestarzałej, lecz zawsze pięknej dawnej poezji.

Jerzy Dąbrowa-Januszewski chce być poetą. I nikt mu tego nie broni. Ale chcieć — to za mało. Przybój wykluczał nawet pojęcie „jestem”, uznając, że poeta się bywa. Jeżeli już ktoś podejmuje się pisanie wierszy, to musi wiedzieć, że wiersz to nie zlepek dowolnie dobranych słów i że konstruowanie wierszy podlega pewnym prawom. Poeta ponosi odpowiedzialność za każde słowo. I to bardziej niż ktokolwiek inny! W poezji słowo często urasta do symbolu, który potęguje wypowiedziane przez autora myśli. Obowiązuje też dyscy-

plina w doborze wyrazów, logika w ich zestawieniu, czytelność w kompozycji. Nie zastąpią tego żadne żonglerki słowne. Wzmocni to tylko tak zwany bełkot poetycki, który, niestety, ostatnio się nasila. Aby uzasadnić swoje spostrzeżenia przytoczę tylko niektóre fragmenty drugiej części poematu:

Niebo nad Słupskiem
kruczo lśni łoskotem słońce
które w lipcowy świt zamie
w kościelne organy

plując się dźwiękiem poprzez drzwi —
Niech nas nie zwiedzie pozornie piękna
metafora: „niebo kruczo lśni łoskotem słońca”. Zajrzyjmy do słownika. „Kruczo” pochodzi od „krucze”, co oznacza wydawanie charakterystycznego odgłosu spowodowanego najczęściej głodem (albo autor wprowadza to słowo od — kruk, co w przenośni kojarzy się z kolorem czarnym); „łoskot” — też odgłos, ale wydawany przez spadające przedmioty itp. Zbieżność semantyczna tych wyrazów czyni z nięknę na pozór metafory tak zwane masło maślane. Poza tym jak barwy mogą wydawać odgłosy? Czy można „lśnić łoskotem”?

Ten sam nonsens w następnym wersie dotyczącym słońca: „Które (...) zamie w kościelne organy plując się dźwiękiem poprzez drzwi”. To już nawet nie zawołany bełkot. Jak słońce może „zadąć w organy” albo „pluć się dźwiękiem poprzez drzwi” — tego chyba poza autorem nikt nie zrozumie.

Weźmy następne wersy:

Anna śpi
jeszcze trumna syna
u jej boku mieczem
czas krwi
(...)

Co to znaczy? Tu nawet nie można dokonać krytycznego rozbioru, bo nie ma tu żadnego sensu ani treściowego ani językowego. Podobnie jak w następnym fragmencie m.in. zwrot: „Znowu mrok /i lenki odblask kaganka/ drży tętne łomów”. Tak odblask może być lenki i drzeć tętne łomów?

I na zakończenie jeszcze jeden „kwiatek”:

Czy przebudzenie?
W rozpryskach śniedzi
myszki strachu pochodnia
poprzez sklepienie
nawoływanie gwałtowne organów
cisza

Z tej paplaniny można wywnioskować tylko jedno: „strachu pochodnia” są tutaj nie myszki (!), lecz tego rodzaju „poezja”.

Swoją wypowiedź chciałbym zamknąć bibliiną przypowieścią: „Wybacz mu Panie...”

I Pan być może wybacz, ale czytelnicy?...

STANISŁAW MISAKOWSKI

Zmierzch Europy

Szkice do historii dekadencji współczesnej sztuki i poezji europejskiej

I. Europa jest śmiertelnie chora na niemożność.

Obserwuję symptomy tej choroby od lat, z wciąż wzrastającym niepokojem. Rejestruję coraz bardziej gęstniejącą świadomością zbliżający się koniec Europy Prometejskiej. Niosąc przez przeszło dwa tysiąclecia światło Europa nie spostrzegła, iż powoli przemienia się ono w świecące próchno, ogień zaś staje się tylko gorącym pióropuszem popiołu, a tłący się ledwie żar wytracił był swą pierwszą żywotną energię.

Sztuka, która była Panią w służbie ludów, narodów i państw, lecz nie ich służebną, zesłała do roli niewolnej służki. Utraciła wolność i dobre imię. Stała się uległa, uległszy zaś przestała być Duchem, aby stać się materialnym cieniem samej siebie.

Świat zaczął rozszerzać swoje granice dokładnie w chwili, gdy poczęła zanikać Europa. I to zanikanie właśnie, wiotczenie, stanowi oznakę śmiertelnej choroby. Potem już tylko zagłada.

II. Problemem jawi się dotarcie do istoty pojęcia utraty.

Symptomatyczne więc wydaje się i to, że mało kto podejmuje bodaj próby rozpoznania i opisanego tego zjawiska. Tymczasem sztuka i poezja europejska wiek po wieku, dekada po dekadzie, rok po roku wreszcie, wytraca swą energię, potencję stwórczą, zdolność czynu twórczego.

III. Nowy Świat mija Europę i Europejczyków, choć to właśnie ona stworzyła go i obdarzyła światłem. I bynajmniej nie jest to z jego strony akt niewdzięczności. Pojęciem wdzięczności lub niewdzięczności posilkują się i szermują niewolnicy. Wdzięczność i niewdzięczność, to słońce i księżyc świecące jaskrawo nad Dominium Niewolnictwa.

Nowy Świat jest może barbarzyński, lecz w żadnym razie niewolniczy.

Kiedy zostaje naruszona zasada i istota wolności, ludzie, przede wszystkim ludzie sztuki, przestają mówić językiem wartości, zaczynają natomiast formować język jakości, w którym rzeczy oznaczają wyłącznie rzeczy.

Europa zaczęła władać językiem tragicznej szczegółowości, który, pozbawiony wielowymiarowości abstrakcji (pojmowanej jako *via intellecta* ku temu, co m.in. Wielemi Chlebnikow określał „językiem porozumowym”) nie może sprostać sferze emocji, będącej niejako poza doświadczeniem, lecz warunkującej czyn twórczy.

IV. Sztuka europejska przestała świecić własnym światłem. Jeśli niekiedy jeszcze rozbłyśnie, to tylko martwym księżycowym blaskiem, którego źródło bije gdzie indziej, choćby nie było to źródło najpierwszej jasności.

Sztuka europejska jest zmęczona i wyjałowiona.

Gwałtowność połączona z naiwną rozrzutnością, z jaką w XIX i XX wieku Stary Kontynent rozdawał swoje intelektualne dobra, doprowadziły do tego, że dzisiaj zawdzięcza on swój żywot sokom czerpanym z przeszłości. Zmurszały pień nie przeistacza jednak tych soków w nowe pędy.

V. Europejskość cuchnie trupem.

Dehumanizacja sztuki, o której tak przejmująco pisał w połowie lat trzydziestych José Ortega y Gasset, z procesu przeistoczyła się w akt dokonany, w stan.

Degradacja sztuki utożsamia się z degradacją życia. Nastąpiło zjawisko swoistej interakcji. Inaczej rzecz ujmując człowiek, więc i artysta, utracił zdolność istnienia wewnętrznego; żeby móc istnieć dalej, to znaczy istnieć w zmienionych warunkach socjalnych, a co za tym idzie w nowych warunkach filozoficzno-etycznych, musiał wyjść poza siebie. Musiał stać się bytem wyłącznie zewnętrznym. To „zdobyc” kultury Zachodu.

A przecież istotą sztuki jest tajemnica, czyli owo wewnętrzne jądro absolutnej wolności. Wszystko, co zewnętrzne, jest pozorne i tymczasowe.

Nasza cywilizacja nie znosi wolności, stanowiąc coraz gęściejszy system komunikacji, dla której indywidualność jest potencjalnym zagrożeniem. Każdą rzecz i zjawisko — więc i dzieło sztuki — skodyfikowała i włączyła w system tworzący jednolitą, acz pozbawioną właściwości, strukturę.

Wolność stała się więc utopią, artysta zaś niewolnikiem istniejących struktur. Jego indywidualne „ja” jest zagrożeniem, ukrywa bowiem nasienie, z którego może znów wykiełkować Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego.

VI. To prawda, iż utracić można jedynie posiadane, a przecież Europa przez wieki kumulowała bogactwa ludzkiego intelektu i wyobraźni. Wschód i Zachód uzupełniały się wzajemnie i dopełniały w przeciwieństwach. Mteafizyka i racjonalizm, fizyczne i duchowe, wyrażały się najpiękniej i najdosadniej w jedności sztuki.

Wilhelm Heinrich Wackenroder pisał w swym dziele¹⁾: „*Są jedynie dwa języki dla ujęcia świata: jednym mówi Bóg, drugim człowiek — to natura i sztuka*”. J. W. Goethe zaś twierdził, że to sztuka właśnie jest najświetniejszym wyrazem natury. I wobec tego nie wydaje mi się całkiem oczywiste to, że wyrzuciliśmy ustalenia owe na śmietnik pojęć całkowicie bezużytecznych.

Rezygnując z rozumienia pojęć pierwszych, siłą rzeczy utraciliśmy zdolność rozumienia samych siebie, a w konsekwencji pojmowania sztuki jako wyrazu i obrazu człowieka, a także Człowieka i Natury jako jedności.

Pierwszy krok do samozagłady, to utrata tożsamości między naturą i sztuką. Później przestaje się rozpoznawać etyczne i nieetyczne, dobre i złe, wolę i zniewolenie, aż wreszcie wszystko przestaje mieć znaczenie. Wszystko — oprócz lustra odbijającego pozór rzeczywistości.

Cechą sztuki doby dekadencji jest to, że sama jest własnym lustrem. Istnieje z a m i a s t siebie, z a m i a s t siebie także jest artystą.

VII. Jednym z naczelných zadań sztuki jest ujawniać i wyrażać napięcia powstające między wrażeniem a wyobrażeniem. Między tym, co ze swej natury wolne, a tym, co podlega (i ulega) skodyfikowanemu systemowi umownych znaków. Wreszcie między tym, co archetypiczne, a tym, co rozpoznawalne rozumem, zatem — między niejasnym B Y Ł O, a sprawdzalnym J E S T.

Granice między tymi kategoriami są jednak płynne. Zresztą, chodzi o świadomość, że sztuka może i powinna te niejasne granice przekraczać. Dobitnie wyraził ten problem Oskar Wilde: „*Wszelka sztuka jest zarazem powierzchnią i symbolem*”. Paul Klee zaś w „Wyznaniach twórcy”²⁾ napisał: *Sztuka nie odtwarza tego, co człowiek widzi, ale czyni widocznym*”.

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

1) W. H. Wackenroder, *Werke und Briefe*, 1910, s. 64

2) Paul Klee, *Wyznania twórcy* (w:) *Artyści o sztuce*, 1977, s. 287

Przypominamy, że...

Zarząd Głównego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pobrzeże” ogłosił

OTWARTY KONKURS NA REPORTAŻ

Organizatorzy nie ograniczają tematyki konkursu, liczą jedynie na ukazanie w reportażu wszystkiego, co kryje się za słowem „PRZEMIANY” w losach ludzi i regionu, co zmieniło się na przestrzeni 40 lat w polityce, gospodarce, kulturze, oświacie, obyczajach. Idzie, mówiąc najkrócej, o ukazanie ziemi i ludzi dzisiaj, o opisanie ich powikłanych losów, uwarunkowań, dramatów i konfliktów. Pokazanie ludzi, którzy po wojnie przywracali te ziemie Macierzy.

W konkursie mogą uczestniczyć wszyscy, którzy w terminie do 15 lipca br. nadesłali prace nie przekraczające objętości 15 stron maszynopisu lub czytelnego rękopisu na adres SSK „Pobrzeże” w Słupsku, ul. Zamenhofa 1. Prace należy opatrzyć godłem,

w oddzielnej kopercie podać nazwisko i adres. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w sierpniu 1984 r.

NAGRODY: I — w wysokości 25 tys., II — 20 tys., dwie trzecie — po 15 tys. oraz 5 wyróżnień po 10 tys. złotych. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Organizatorzy konkursu zastrzegają prawo pierwszeństwa wszystkim nadesłanym prac w miesięczniku WIK „Gryf” za oddzielnym honorarium.

Prace nagrodzone i wyróżnione w konkursie zebrane zostaną w specjalnym wydawnictwie, tomiku reportaży, który ukaze się drukiem w oficynie wydawniczej „Pobrzeże” w styczniu 1985 r. w 40. rocznicę powrotu naszych ziem do Macierzy.

O kulturze słupskiej pisali...

„Zbliżenia” zaproponowały czytelnikom nowy cykl pt. „Bądź patriotą — mów po polsku” autorstwa Danieli Podlaskiej.

Z niedbalstwem językowym spotykamy się właściwie we wszystkich dziedzinach życia: w dyskusjach, na naradach, w szkole, ale przede wszystkim w naszym codziennym porozumiewaniu się z innymi ludźmi.

W artykułach z tego cyklu będą omawiane najczęściej spotykane uchybienia językowe oraz zagadnienia dotyczące poprawności i kultury językowej. Uwrażliwić czytelnika na piękno języka ojczystego i rozbudzić dbałość o jego poprawność, służyć radą i pomocą — to cele, które stawia sobie autorka i redakcja.

„ZBLIŻENIA” nr 14 z dn. 5 IV br.)

KRONIKA

KRONIKA

■ Dni Kultury Czechosłowackiej, choć trwały krótko (10–12 kwietnia) stanowiły interesującą prezentację dorobku południowych sąsiadów Polski. Gościliśmy morawski folklorystyczny zespół „Kyjovaci”, czeski duet instrumentalny — Bohumil Kotmel (skrzypce), Jurina Kalmanova (fortepian). W kinach odbyły się przeglądy bajek dla dzieci i projekcje filmów pełnometrażowych. W salonach wystawowych prezentowano grafikę Karelą Zemana i malarstwo Antonína Nováka.

■ W słupskim MOK odbył się (9 kwietnia) koncert reprezentacyjnego zespołu pieśni i tańca Centralnej Francji „Notre Berry” z Bourges. Zespół przybył do kraju na zaproszenie władz Koszalina.

■ Interesujący przebieg miał turniej szkół zorganizowany w słupskim MOK. Rywalizowały reprezentacje „czwórki” i „czternastki” — odpowiadając na pytania dotyczące historii i dziejów najnowszych Słupska. Puchar Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego zdobyła Szkoła Podstawowa nr 4.

■ Wóć Wrzając od niedawna pracuje dziecięca grupa teatralna. Pierwsza premiera dziecięcego zespołu odbyła się w miejscowym Wiejskim Domu Kultury. Prezentowano udane przedstawienie „Legenda o Pasku Walecznym”.

■ Międzynarodowy Dzień Teatru był okazją do spotkania przedstawicieli wojewódzkich władz polityczno-administracyjnych z kilkudziesięcioosobową grupą pracowników Słupskiego Teatru Dramatycznego, Orkiestry Kameralnej i PTL „Tęcza”. Ludziom teatru złożono życzenia pomyślności w dalszej pracy zawodowej, 11 osób otrzymało okolicznościowe listy gratulacyjne.

■ Ponad 3 tysiące zuchów i harcerzy uczestniczyło w Hufcowym Festiwalu Piosenki Harcerskiej organizowanym dla młodzieży z Lęborka i okolic. 180 solistów i członków zespołów wokalnych i wokalo-instrumentalnych znalazło się w finale tej pięknej imprezy. Wydział Oświaty i Wychowania UM oraz Komenda Hufca ZHP w Lęborku przyznały nagrody: Milenie Chojnackiej (Sz. P. w Tawęcinie), zespołowi wokalnemu ze Sz. P. nr 4 — szczep ZHP im. Tysiąclecia Państwa Polskiego, Joannie Kaczmarek ze szczepu im. Janusza Korczaka przy Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Lęborku, Joannie Gulinskiej ze szczepu im. 4 Pomorskiego Pułku Czołgów Ciężkich przy Sz. P. nr 4 w Lęborku, Magdzie Stobbie ze Sz. P. w Siemirowicach, zespołowi wokalnemu ze szczepu im. Haliny Górskiej przy Studium Wychowania Przedszkolnego w Lęborku.

■ Teatr poezji „Ad Rem” przy szczepie ZHP w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Ustce zyskał uznanie, na występie w warszawskim teatrze „Buffo”, za przedstawienie „Spółczesnego ekstremu” — spektaklu opartego na lirykach C. K. Norwida w opracowaniu Sławomira Rzepczyńskiego. Ustecy harcerze zostali zaproszeni do Warszawy przez Główną Kwaterę ZHP.

■ Dom Kultury Kołofarza w Słupsku ogłosił konkurs plastyczny pt. „Moja Ojczyzna — Polska”. Technika prac dowolna. Termin składania prac — minął z końcem kwietnia. Rozstrzygnięcie w maju.

■ Pod koniec marca odbyły się w Miastku wojewódzkie eliminacje XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej. W miasteczkich finałach wzięło udział 23 solistów i 17 zespołów. W kategorii solistów pierwsze miejsce zajęła Grażyna Atalska ze Słupska, zaś wśród zespołów najlepszym okazał się zespół wokalny „Triolki” z Ustki.

Przypominan

Zarząd Głównego Stowarz

OTWAR

Organizatorzy nie ograniczają konkursu, licząc jedynie na ukazanie portretu wszystkiego, co kryje w sobie „PRZEMIANY” w losach regionu, co zmieniło się na przestrzeni lat w polityce, gospodarce, kulturze, obyczajach. Idzie, mówią o ukazaniu ziemi i ludzi dzisiaj, nie ich powikłanych losów, uwaga dramatów i konfliktów. Pokazujemy, którzy po wojnie przywracali Macierzy.

W konkursie mogą uczestniczyć osoby, których prace nie przekraczają objętości maszynopisu lub czytelnego adresu SSK „Pobrzeże” w Słupsku, ul. Młyna 1. Prace należy opatrzyć

O kulturze słu

„Zbliżenia” zaproponowane po polsku” autorstwa Daniela

Z niedbalstwem językowym życia: w dyskusjach, na nadzwyczajnym porozumiewaniu się

W artykułach z tego cyklu językowe oraz zagadnienia czytelnika na piękno języka żyć radą i pomocą — to cele

W MAJU ZAPRASZAJĄ

ŚLUPSKI TEATR DRAMATYCZNY

Ślupsk, ul. Wałowa 3, tel. 49-60, 38-39

- „O dwóch takich co ukradli księżyc” K. Makuszyńskiego, adapt. i reż. Bogusława Czosnkowska, scen. Jadwiga Pożakowska, kostiumy Małgorzata Zak-Iszoro, muz. Andrzej Głowiński, chor. Zygmunt Kamiński;
- „Król Edyp” Sofoklesa, reż. Ryszard Jaśniewicz, scen. Ryszard Strzembala, muz. Bohdan Jarmolowicz;
- „Gry kobiece” (wg scenariuszy filmowych „Niedostępna”, „Miłosierdzie platne z góry” K. Zanussiego, E. Żebrowskiego, reż. A. J. Dąbrowski, scen. R. Strzembala;
- „Konopielka” E. Redlińskiego, adapt., reż., scen., wykonanie — Jerzy Nowacki.

PANSTWOWY TEATR LALKI „TĘCZA”

Ślupsk, ul. Waryńskiego 2, tel. 39-35, 87-94

- „Królewna i echo” (premiera) Vlasta Pospisilova, reż. Zofia Miklińska, scen. Krzysztof Grzesiak, muz. Jerzy Stachurski;
- „Dziecko gwiazdy” M. Kossakowskiej, J. Galewicza, reż., insc. J. Galewicz, muz. Zofia Stanczewska, chor. Barbara Witczak;
- „Królowa śniegu” E. Szwarcza (wg Andersena), reż. Adam Waśko, scen. Marian Wentzel, muz. Lucyna Waśko.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

Ślupsk, ul. Pawła Findera 3, tel. 40-41

„Baszta Czarownic”, ul. Francesco Nullo

- rzeźba i rysunek Adama Smolana (Sopot)

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

Ślupsk, pl. Armii Czerwonej

- grafika i rysunek Marii Zento-Kurkowej (Poznań) do 10 maja.
- rysunek satyryczny Eryka Lipińskiego (Warszawa) 11—30 maja.

MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO

Ślupsk, ul. Dominikańska 5, tel. 40-81

- Sztuka dawna Pomorza w XIV—XVIII wieku — „Portrety” S. I. Witkiewicza
- „Skarby książąt pomorskich” — wyroby rzemiosła artystycznego

Młyn Zamkowy

- Kultura i Sztuka Ludowa Pomorza Środkowego

Polecamy w następnych numerach „Gryfa”

- ✦ Powtórka z historii — szkic o stosunkach polsko-niemieckich
- ✦ Tylko dla dorosłych — reportaż obyczajowy o nocnym życiu Słupska
- ✦ Gwiazda na życzenie — sylwetki aktorek i aktorów słupskich scen
- ✦ Rozmowa z prezesem ZG SSK „Pobrzeże” — Jerzym Rudnickim
- ✦ Gdybym był ministrem — wypowiedzi w naszej ankiecie
- ✦ Umarzec nad morzem z nudów — reportaż
- ✦ W cyklu „Prezentacje” — Miejski Ośrodek Kultury w Debznie
- ✦ i jak zwykle ciekawe listy w pocście do redakcji, ciekawostki, sensacje.

